

# PRZEKREŚLENI?

Wyznania  
byłych  
więźniów

## **Przekreśleni?**

Wyznania byłych więźniów

Opracowanie: Ina Bonk

Projekt okładki i przygotowanie do druku:

Natalie Neugebauer

Druk: GGP Media GmbH, Pößneck, Niemcy

© 2011 Ina Bonk

Kontakt: „Przekreśleni?”

ul. Korfantego 24

43-400 Cieszyn

[www.zycietowiecej.com](http://www.zycietowiecej.com)

Wydanie pierwsze 2011

Książka nie jest przeznaczona do sprzedaży.

## Spis Treści

<b>Piotr:</b> Chciałem wrócić do więzienia	4
<b>Tadek:</b> Szukałem prawdziwej wolności	17
<b>Wojtek:</b> Ludzie mnie dawno przekreślili	28
<b>Tomek:</b> Złamane przekleństwo	39
<b>Józek:</b> Dworzec był moim domem	52
<b>Postowie</b>	63



## Piotr: Chciałem wrócić do więzienia

Byłem chłopakiem bardzo nieśmiałym i zakompleksionym. Nie potrafiłem odnaleźć się w grupie rówieśników. Lepiej czułem się w towarzystwie osób starszych. Spędzałem dużo czasu z bratem i jego kolegami.

Z dzieciństwa najlepiej pamiętam to, że w domu był alkohol. Tata dużo pił. W wieku dziesięciu lat miałem pierwsze własne doświadczenia z alkoholem. Kiedy odbywały się imieniny i urodziny w domu, miałem ciche przyzwolenie ze strony rodziców, że kieliszek mogę wypić. Podobało mi się jego działanie. Stawałem się wtedy śmiały, kompleksy odchodziły i uważałem się za kogoś wartościowego. Czasami przynosiłem alkohol do szkoły, aby zaimponować innym. Pewnego dnia, w piątej klasie podstawówki, upiłem się do tego stopnia, że na lekcji zwymiotowałem.

Zaczęły się problemy wychowawcze. Buntowaliśmy się przeciwko rodzicom. Brat przyszedł pierwszy raz pijany do domu. Zrobiło to na mnie wrażenie, chociaż został za to pobity przez tatę. Nic to nie pomogło, tym bardziej, że tata sam lubił alkohol. Mój brat pił coraz więcej, nawet już razem z tatą. Chciałem dotrzymać im kroku, więc również zacząłem pić. Miałem wtedy ok. 14 lat. Często dochodziło do sprzeczek i przeważnie kończyło się to pobiciem przez nas taty. Pewnej nocy, gdy już spałem, ojciec rzucił się na mnie i dusił mnie, bo ponoć zabrałem mu wódkę. Jakoś się obroniłem, ale po tym wydarzeniu zerwała się więź między nim, bratem i mną.

Cały czas obracałem się w towarzystwie starszych kolegów. Miesiąc przed moimi osiemnastymi urodzinami dokonaliśmy pierwszego poważnego rozboju przed restauracją, gdzie pobiliśmy człowieka. Byliśmy pijani i nie pamiętam, z jakiej przyczyny rzuciliśmy się na niego. W każdym razie przyjechała karetka i policja, która zabrała

nas na komendę. Groziło mi wtedy wydalenie ze szkoły. Jakimś cudem mamie udało się jeszcze temu zapobiec. Mimo to po krótkim czasie zostałem wyrzucony. Kilka razy nauczyciele złapali mnie, gdy byłem pod wpływem alkoholu. Pewnego dnia po raz kolejny przyszedłem na lekcję pijany. Nauczycielka zaprowadziła mnie do dyrektora, który kazał rodzicom przyjść i zabrać moje papiery.

Potem nie było już tygodnia, żebym nie znalazł się na komendzie. Stałem się tam „popularny”, znany przede wszystkim z paserstwa, kradzieży i włamań. Policja regularnie zatrzymywała mnie i przesłuchiwała w różnych sprawach.

Dostałem wezwanie do wojska. Nie chciałem tam iść, gdyż nie lubiłem się podporządkowywać. Próbowałem trochę symulować przed komisją, ale bez efektu. Dostałem grupę A1 i musiałem rozpocząć służbę. Wiedziałem, że w wojsku alkoholizm był uważany za chorobę, więc piłem, piłem i piłem. Kombinowałem, w jaki sposób najszybciej się stamtąd wydostać. Raz poprosiłem ojca, żeby chociaż tyle dla mnie zrobił i załatwił telegram, że umarł, aby mnie puścili na przepustkę. Ku mojemu zdziwieniu ten telegram przyszedł. Byłem zaskoczony, że był potwierdzony. Pomyślałem sobie, że widocznie ojciec dobrze to połatwia. Jadąc do domu, miałem mieszane uczucia. Wprawdzie nie kochałem ojca, ale jednak zależało mi na tym, żeby rodzina była w całości. Kiedy wchodziłem do klatki schodowej, zobaczyłem nekrolog. W tym momencie uświadomiłem sobie, że naprawdę zmarł. Dowiedziałem się, że miał wylew krwi do mózgu.

Śmierć ojca spowodowała, że przyszło na mnie chwilowe załamanie nerwowe i przestało mi zależeć na czymkolwiek. Piłem jeszcze bardziej i porzuciłem broń na warcie. Zawieźli mnie do prokuratora. Wszystko było mi obojętne, więc powiedziałem: „Jeśli chcecie, to mnie zamknijcie.

Róbcie, co wam się podoba". Wywieźli mnie na komisję lekarską do Bydgoszczy. Tam stwierdzili, że jestem nie-poczytalny i dali mi odpowiedni dokument. Dzięki temu zostałem wypuszczony do cywila i wróciłem do domu.

Mama przestała sobie z nami radzić. Odbywało się jedno wielkie pijaństwo. Zaczęły się wynoszenia z domu – do tego stopnia, że nie miałem pod czym spać. Sprzedawałem wszystko na alkohol. Piliśmy i kradliśmy na potęgę. W pewnym momencie mama oddała mnie na przymusowe leczenie. Jednak nigdy tam nie trafiłem, zamiast tego byłem poddawany leczeniu psychiatrycznemu. Pamiętam, jak psychiatra przepisał mi pewne leki i ostrzegł, że umrę, jeśli będę pił alkohol po tych lekach. Nie zależało mi na życiu. Zjadłem 29 tabletek naraz i popiłem je butelką wina. Ku mojemu zaskoczeniu obudziłem się rano rześki i zdrowy. Nie miałem nawet kaca. Wówczas myślałem, że psychiatra mnie oszukał. Dzisiaj jestem przekonany, że to był Boży cud, gdyż właściwie człowiek po czymś takim już by nie żył.

Przebywałem z kolegami, którzy w większości byli po wyrokach. Imponowało mi to i w moich oczach byli oni „kimś”. Stacaliśmy się coraz niżej. Mając 21 lat, po raz pierwszy zostałem zatrzymany i przez miesiąc siedziałem w areszcie śledczym w Piotrkowie Trybunalskim.

Jednak nic się nie zmieniło. Życie biegło dalej w ten sam sposób. Utrzymywałem się z licznych kradzieży i włamań. Kiedy znowu razem z kolegą okradliśmy sklep, policja złapała nas na gorącym uczynku. Dostałem wyrok i poszedłem w sumie na cztery lata do więzienia w Piotrkowie. Po przetransportowaniu mnie na oddział zewnętrzny w Goleszach dostałem pierwszą przepustkę za dobre sprawowanie. Później byłem na kolejnej przepustce, ale niestety, wtedy nie skończyło się to dobrze. Spotkałem się z kolegą, który przez wiele lat był moim współnikiem.

W czasie pijaństwa wjechał mi na ambicję i stwierdził, że gdybyśmy poszli na jakąś „konkretną robotę”, to na pewno bym uciekł, bo jestem psychicznie słaby. Ponieważ alkohol robił swoje, dałem mu do zrozumienia: „Wybieraj, co chcesz – idziemy kogoś zabić, czy coś innego – jestem gotowy”. Kolega podjął decyzję, żebyśmy zamordowali kierowcę taksówki. Wymyślił plan, w którym ja miałem go dusić, a on załatwić nożem. Zgodziłem się. Nie było w tym jakiegokolwiek celu, nie chcieliśmy wziąć jego auta, ani go okraść. Po prostu w czasie picia kolega sprowokował mnie, a moja ambicja już nie pozwalała na to, bym się wycofał. Podjechała taksówka i zamówiłem kurs. Usiadłem z tyłu, mój współnik obok niego. Ruszyliśmy i po chwili kolega kazał mu się zatrzymać. Zarzuciłem kierowcy pętlę z przewodu i zacząłem go dusić. W tym momencie mój kolega uciekł z auta. Zaczęła się jedna wielka szamotanina. Kierowca wypchnął mnie z taksówki i udało mi się uciec.

Nie wiedzieliśmy, że taksówkarz znał nas z widzenia. Następnego dnia zostaliśmy zatrzymani i aresztowani. Miałem przed sobą tragiczną perspektywę. Po pierwsze byłem na niepowrocie z przepustki z zakładu karnego, po drugie dopuściłem się próby morderstwa. Nie wiem, dlaczego, ale dostałem wtedy najmniejszy możliwy wymiar kary: osiem lat. W sumie miałem do odsiedzenia jedenaście lat.

Zostałem wywieziony do Sieradza. Tam spotkałem chłopa, który był cały wytatuowany i miał ręce powypalane kwasem. Raz widziałem, jak wyciąga Pismo Święte i czyta. To było moje pierwsze spotkanie z Biblią. Chciałem się z nim zakolegować. Zaczął przytaczać mi pewne fakty o Bogu. Przedstawił mi piękną postać Ojca w niebie, który kocha Swoje dzieci. Znałem tylko tatę, którego miałem w domu. Mój obraz ojca był mocno skrzywiony. Z jednej strony chciałem przyjąć to, co mi mówił, ale z drugiej



strony obawiałem się, że tak naprawdę Bóg jest tylko surowym dziadkiem z długą brodą, który karze i chłostcze.

Dzisiaj wiem, że Panu Bogu bardzo na mnie zależało, bo nawet, gdy zostałem przeniesiony do innej celi, tam również spotkałem chłopaka, który czytał Biblię. Dało mi to do myślenia, gdyż tych „przypadków” było za dużo. Wszędzie, gdzie poszedłem, pojawiła się osoba wierząca. Ludzie ci zachęcali mnie do czytania Słowa Bożego i zawierzenia swojego życia Panu Jezusowi. Faktycznie zacząłem czytać Pismo Święte, ale ponieważ wiele nie rozumiałem, dość szybko z tego zrezygnowałem.

Kiedy odsiadywałem karę w ZK w Sieradzu przydzielono do nas chłopaka, który przyniósł ze sobą odpisy z Księgi Szatana. Zafascynowała mnie czarna magia i zaczęliśmy „bawić się w wywoływanie duchów”. Wytatuowałem na przedramieniu podobiznę szatana. W jakiś sposób przyjąłem jego znamię na siebie, bo nie da się usunąć tego tatuażu. Ale dzisiaj wiem, że Bóg ma nad tym potężniejszą moc.

Pewnego dnia trafiła do naszej celi gazeta „Brum”. Tam znalazłem ogłoszenie dwóch satanistek. Napisałem do nich, że jestem początkującym i poprosiłem je o rady, w jaki sposób mogę się rozwijać w satanizmie. Po dwóch tygodniach dostałem list od jednej z tych dziewczyn, w którym była zapakowana książeczka „Jezus Chrystus wśród uwieczonych”. Dowiedziałem się później, że ta dziewczyna nawróciła się do Boga! Zacząłem z nią korespondować. Pisała mi, że satanizm jest błędną drogą, która prowadzi na zatracenie. Opisywała mi swoje doświadczenia i to, jak znalazła prawdziwe życie.

Zmagałem się z więzienną codziennością. Miałem problem z alkoholem, papierosami, pornografią i onanizowaniem się – wszystkim, co jest tak bardzo powszechne w więzieniu. Powiedziałem Bogu: „Jeśli naprawdę widzisz moje

życie i jeżeli cokolwiek dla Ciebie znaczę, to chciałbym chociaż nie palić". Po tej modlitwie byłem wewnętrznie przekonany, że jeśli jeden dzień wytrzymam, to więcej nie będę palił. Faktycznie, ten jeden dzień z trudem wytrzymałem, wręcz się mordowałem, żeby nie palić. Następnego dnia obudziłem się i nic mi nie dolegało! Nie miałem ochoty na papierosy!

Tak było przez siedem miesięcy, dopóki nie odbyła się wywiadówka w naszej szkole. Przyjechali rodzice innych więźniów, którzy uczyli się ze mną w zawodówce. Było bardzo dużo osób i udało im się przeschmuglować do środka alkohol. Wtedy chłopcy z mojej celi przynieśli litr spirytusu, ale ponieważ było nas siedmiu, na każdego wypadło niewiele. Zacząłem na nowo palić, żeby spotęgować stan upojenia.

Mimo wcześniejszych doświadczeń z Bogiem, moje życie było dość chaotyczne. Czytałem wprawdzie Pismo Święte i ono do mnie przemawiało, jednak brakowało mi innych wierzących. Ale zauważyłem jedno: jeśli alkohol był w celi i ja modliłem się, żeby Bóg mi pomógł nie pić, to faktycznie mogłem oprzeć się pokusie. Natomiast, jeżeli się nie modliłem, to sam z siebie nie miałem siły odmówić.

Podobały mi się także środki odurzające w postaci rozpuszczalnika i kleju. Byłem w stanie zapłacić duże pieniądze, by dostać ich choć trochę, żebym mógł się naćpać. Oszukiwałem mamę i kradłem w zakładzie, aby zdobyć pieniądze. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że byłem nie tylko nałogowym alkoholikiem, ale doszły do tego jeszcze narkotyki. Mocno mnie to przytłaczało.

W tym czasie zostałem przewieziony do ZK w Nysie. Bóg cały czas przemawiał do mnie przez Pismo Święte. Któregoś dnia powiedziałem: „Boże, weź moje życie, bo mam dosyć tych upadków! Zrób ze mną, co chcesz”. Wylewałem

przed Nim swoje serce. Miałem trzy poważne zadłużenia komornicze z powodu niezliczonych kradzieży. Nigdy nie płaciłem żadnych grzywń. Przerastało mnie to i nie wiedziałem, co mam zrobić. Prosiłem Boga o pomoc. Na drugi dzień przyszedł do mnie kierownik pralni i zapytał, czy chcę pracować. Oczywiście zgodziłem się! To była moja pierwsza legalna praca. W związku z tym zostałem przeniesiony na inny oddział i trafiłem do celi Mariusza, który chodził na spotkania kościoła zielonoświątkowego. Zachęcił mnie, abym też poszedł i poznał tych ludzi. Zgodziłem się i poszedłem raz, drugi, trzeci. Podobały mi się te spotkania. Pewnego dnia dostałem list od mamy. To była jedyna osoba, którą kochałem. Dowiedziałem się, że musi się poddać poważnej operacji. Liderzy spotkania często mówili: „Jeśli ktokolwiek z was czegoś potrzebuje, to powiedzcie i będziemy się o to modlić”. Wtedy po raz pierwszy odważyłem się zabrać głos i poprosiłem o modlitwę za moją mamę, bym mógł jeszcze się z nią spotkać. Pomodlili się i po jakimś czasie mama przysłała list, w którym pisała, że jej stan niespodziewanie się poprawił i nie będzie potrzebowała operacji. Wiedziałem, że to była Boża interwencja.

Dalej uczęszczałem na spotkania, ale potem poznałem chłopaka, który był mocno związany ze Świadcami Jehowy. Bardzo mi się podobała ta nauka, gdyż podczas naszych rozmów otrzymałem odpowiedzi na wszystkie moje pytania dotyczące Boga. Dzięki temu moja wiedza o Bogu była logicznie poukładana, jednak tak naprawdę ograniczyłem Go przez mój rozum. Jakiś czas później powstał między nami konflikt. Zaczęły się też problemy w celi, bo Mariusz chodził na spotkania kościoła zielonoświątkowego, a ja przedstawiałem mu jakieś filozofie... Po wielu namowach zdecydowałem się, aby wrócić na te spotkania.

W międzyczasie uczestniczyłem również w spotkaniach organizowanych przez Waldka ze stowarzyszenia FILEO. Miałem z nim dobry kontakt i bardzo go polubiłem. Wywierał dobry wpływ na moje życie. Na jednym ze spotkań ktoś powiedział, że Jezus cierpiał nie za grzechy ludzkości, tylko za grzechy każdego z nas. Sprecyzował tę wypowiedź i wymienił nas po imieniu: „Piotrze, Jezus umarł za twoje grzechy”. Te słowa trafiły do mojego serca. Uświadomiłem sobie, że Jezus Chrystus jest moim osobistym Zbawicielem. Dziękowałem Mu za to z całego serca.

Przyszedł czas, w którym nabyłem prawo do warunkowego zwolnienia. Moja pierwsza „wokanda” polegała na tym, że sędzia wygonił mnie słowami: „Pan dostał już dobrodziejstwo w postaci przepustki. Wtedy chciał pan zabić człowieka! Do widzenia!”. Przed następną wokandą modliliśmy się z Waldkiem oraz grupą z kościoła zielonoświątkowego. Powiedziałem: „Panie, niech się dzieje Twoja wola”. Zdawałem sobie sprawę, że po ludzku nie mam szans na przedterminowe wyjście na wolność. Kiedy poszedłem na wokandę sądową, siedział przede mną ten sam sędzia, ale wydawał mi się zupełnie innym człowiekiem. Chwalił mnie za dobre zachowanie i zgodził się na warunkowe zwolnienie! Wcale nie byłem na to przygotowany. Miałem wtedy 31 lat. Od ponad dziewięciu lat przebywałem w zakładzie karnym i przyzwyczaiłem się do tego miejsca. Miałem ustawione całe moje życie w więzieniu. Znałem „klawiszy”, którzy przynosili mi różne rzeczy. Wiedziałem, co z kim załatwiać. To było pierwsze moje trzeźwe życie, które naprawdę mi odpowiadało. W głębi serca nie chciałem wyjść. Bałem się.

Byłem rozdarty i powiedziałem Bogu: „Skoro Ty, Panie, mnie wypuścisz, to proszę, zatroszcz się o mnie też na wolności”. Czułem, jak diabeł zaczynał okradać mnie z błogostawieństwa poprzez strach. Podsuwał mi takie

myśli: „Nie dojedziesz do miejsca zamieszkania! Nawet nie wiesz, jak kasuje się bilet w autobusie! Po drodze narozrabiasz!”. Modliłem się: „Panie, prowadź mnie bezpiecznie do domu! Niech to będzie znakiem, że jesteś ze mną!”. Opuszczając więzienie, musiałem dostać się najpierw z Nysy do Częstochowy, potem do Radomska. Szedłem, modliłem się i pytałem ludzi, jak dojść do dworca PKS. Trafiałem tam i zobaczyłem, że autobus, który zatrzymał się przede mną, miał z przodu tabliczkę „Częstochowa”! Wsiadłem, kupiłem bilet i dojechałem do Częstochowy. Znałem tamte rejony i mniej się obawiałem. Pociągami dojechałem potem szczęśliwie do Radomska. Mama z bratem odebrali mnie z dworca i poszliśmy do domu. Zaraz pierwszego dnia odwiedzili mnie dawni koledzy. Dowiedzieli się, że wróciłem z więzienia i zaprosili mnie do wspólnego picia. Gdy wyszedłem wraz z bratem, aby z nimi porozmawiać, wstydziłem się przyznać do Boga, oznajmiłem tylko, że jestem teraz innym człowiekiem. Akurat obok nas przejeżdżał ktoś na rowerze. Mój brat podszedł do niego i zaczął go bić. Miał z nim jakieś stare porachunki. W ciągu bardzo krótkiego czasu w pozostałej grupie również rozpoczęła się bójka. Odszedłem od nich, stwierdzając, że mam ich dość.

Był to czas, w którym miałem pretensje do Boga, że wypuścił mnie z więzienia. Minął miesiąc, a nic mi się nie układało. Brat bez przerwy do mnie przychodził i prosił: „Daj mi pieniądze na wino!”. Miałem go powyżej uszu. Powstały poważne spięcia między nami.

Wiedziałem jeszcze ze spotkań w Nysie, że także w Radomsku jest kościół zielonoświątkowy. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduje. W którymś momencie załamania szedłem przed siebie i płakałem. Prosiłem Boga: „Panie, doprowadź mnie tam, gdzie jest Twój kościół”. Doszedłem do przystanku, gdzie jakaś pani czekała na

autobus. Pytałem ją, czy wie, gdzie jest kościół zielonoświątkowy. Ona uśmiechnęła się i powiedziała: „Tutaj”, pokazując na budynek naprzeciwko!

Szedłem tam i prosiłem Boga, żeby ktoś mnie serdecznie przywitał i żebym nie czuł się jak „kołek stojący z boku”. Otwarłem drzwi i zobaczyłem uśmiechniętą twarz kobiety. Bardzo mile mnie przywitała. Trwało akurat spotkanie modlitewne. Prosiłem o modlitwę za mojego brata i zostałem do końca spotkania. Odczuwałem szczególną, serdeczną atmosferę. Zacząłem regularnie chodzić na nabożeństwa, na grupę biblijną i na spotkania modlitewne.

Obok kościoła znajdowała się noclegownia prowadzona przez tych chrześcijan. Poprosiłem pastora, aby mnie tam przyjęli, gdyż sytuacja w domu coraz bardziej mnie dobiwała. Pastor zgodził się i nawet „brat” ze zboru, Radek, wprowadził się razem ze mną, ponieważ w tym czasie nikt tam nie mieszkał. Pragnąłem jak najlepiej poznać Boga. Zaczął się czas prawdziwego błogosławieństwa dla mnie. Wzrastałem duchowo.

Pan Bóg uczył mnie przeważnie przez trudne doświadczenia. Pamiętam, jak sprowadziłem do noclegowni bezdomnego narkomana, któremu chciałem pomóc. Utrzymywałem go na swój koszt i cieszyłem się, że mogę mu pokazywać inne życie, jakiego dotąd nie znał. Pewnego dnia zauważyłem, że mnie okradł, akurat w momencie, kiedy miałem ostatnie pieniądze. Przyszła chwila załamania, jednak wiedziałem, że Bóg mnie w tym wszystkim kocha. Miałem świadomość, że doświadczenia nie są bez powodu, ale będą mi potrzebne na resztę życia.

Nasz zbor otrzymywał pomoc odzieżową z Norwegii. Przyjeżdżały do nas tiry z ubraniami i moim zadaniem było sortowanie ich. Pracowała ze mną Iwona, która jakoś mi nie odpowiadała ze względu na swój dociekliwy charakter.

Zadawała mnóstwo pytań co do mojej osoby. Niezbyt miło to przeżyłem. Ale z drugiej strony była to jedna z nielicznych osób, która naprawdę interesowała się mną i moimi potrzebami. Często modliliśmy się razem i powstała między nami pewna więź. Nigdy nie prosiłem Boga o żonę. Myślałem, że nie nadaję się na męża i ojca. Teraz jednak zauważyłem, że coraz częściej spoglądałem w stronę Iwony. Pomodliłem się tylko raz: „Boże, Ty wiesz, że nie szukam żony, ale jeżeli jest to Twoją wolą i jeśli ma to być ta kobieta, to niech tak się stanie”. Zaprosiłem Iwonę na rozmowę i obiecaliśmy sobie, że pomodlimy się w tej sprawie. Zrodziło się w nas wewnętrzne przekonanie, że mamy być razem. Kilka miesięcy później przyjąłem chrzest w zborze i potwierdziłem w ten sposób swoją wiarę. Potem ogłosiliśmy z Iwoną nasze zaręczyny i po pół roku wzięliśmy ślub. Półtora roku później urodziła nam się pierwsza córka Ania.

Kiedyś pewien „brat” ze zboru powiedział mi prorocstwo, że Bóg będzie mnie używał w miejscach, gdzie inni sobie nie poradzą i zrezygnują. W mojej głowie zrodziła się myśl o Brazylii, dzikusach itp. Ale okazało się, że daleko nie trzeba szukać...

Często myślałem o więzieniu – aby wrócić tam i mówić więźniom o Bożej miłości. W pewnym momencie dowiedziałem się o konferencji dla osób, które opuściły zakłady karne. Pojechałem tam i słyszałem świadectwa innych byłych więźniów, którzy doświadczyli podobnych cudów jak ja. Wielu z nich dzisiaj regularnie odwiedza uwięzionych. Po konferencji czułem się zachęcony i coraz śmielej mówiłem o tym, aby zacząć służbę w zakładzie karnym. Dyrektor misji więziennej kościoła zielonoświątkowego, pastor Piotr Wiśełka, pomógł mi załatwić wejście do aresztu w Piotrkowie Trybunalskim. Tuż przed rozpoczęciem służby w Piotrkowie nasza córka poważnie

zachorowała. Badania potwierdziły, że jej nerki nie pracowały dobrze, normy były kilka razy przekroczone. Upadłem na kolana i zacząłem się modlić i pościć. Stan Ani stale się pogarszał. Kiedy ją nosiłem na swoich ramionach, mówiłem: „Panie, Ty mi ją dałeś. Jeśli ona odejdzie do Ciebie, to proszę pomóż mi to przeżyć!”. Cały czas byłem wspierany przez zbór, wszyscy się modlili. Wiedziałem również, że mam wspaniałego Boga w niebie. Pamiętam, jak otworzyłem swoją Biblię na chybił trafił i czytałem z Ewangelii Jana 11,4: „Ta choroba nie jest na śmierć, lecz na chwałę Bożą, aby Syn Boży był przez nią uwielbiony”. Zacząłem płakać i dziękować Bogu za to słowo. Wiedziałem w tym momencie, że Bóg uzdrowi Anię. Kilka dni później pojechaliśmy razem z Anią do Centrum Zdrowia Dziecka w Łodzi. Po badaniu lekarze pytali nas, dlaczego przyjechaliśmy ze zdrowym dzieckiem! Nie stwierdzili u niej żadnej choroby! Krótco potem czytałem z tego samego rozdziału Ewangelii Jana jeszcze inny werset: „Czyż ci nie powiedziałem, że, jeśli uwierzysz, oglądać będziesz chwałę Bożą?” (Ew. Jana 11,40). Było to dla nas niesamowitym dowodem Bożej mocy i miłości.

Zrozumieliśmy też, że choroba Ani była wynikiem ataku diabła, któremu bardzo się nie podoba, jeśli zaczynamy działać dla Boga. Zawsze się sprzeciwia. Wiem z własnego doświadczenia, że diabeł nie jest jakimś kosmitą, jak niektórzy go sobie wyobrażają, lecz realną postacią, która będzie robić wszystko, abyśmy zostali zniechęceni i oddaleni od Boga. Musimy być czujni i wytrwać w modlitwie.

Później urodziła nam się druga córeczka: Asia. Jestem wdzięczny Bogu za ten kolejny cud w naszym życiu. Dziękuję Mu także za to, że moja żona wspiera mnie w służbie dla Pana Jezusa. Dzisiaj jeżdżę już czwarty rok do aresztu w Piotrkowie, często Iwona jest ze mną. Wiem, że Bóg kocha każdego, bez względu na to, co zrobił, ponieważ



Jezus wziął na siebie karę za naszą winę. To jest jedyny powód, dla którego Bóg może nas przyjąć. Wchodzimy z Ewangelią w ciemne miejsce, ale wierzę, że Bóg ma tam „Swoich ludzi”. Tylko ktoś musi iść i powiedzieć im, że Jezus ich kocha i chce im pomóc. Moim pragnieniem jest, by ludzie, którzy przegrali wiele lat swojego życia, zobaczyli, że jeszcze dzisiaj jest szansa na inne życie. Wiem, że Bóg tak samo jak 2000 lat temu uwalnia, zbawia i uzdrowia. Sam tego doświadczyłem.

Najważniejsze dla mnie jest to, abyśmy mogli spotkać się w niebie. Nie liczy się dla mnie nic oprócz zbawienia. Dziś jestem w stanie pogodzić się ze śmiercią, bo Bóg zagwarantował mi zbawienie. Kocham tę Bożą prawdę: „Piszę to do was, którzy wierzycie w Bożego Syna, byście **wiedzieli, że już macie życie wieczne**” (1 list Jana 5,13).

Bóg chce nas używać pomimo naszych słabości. Chociaż zdarzają się nam jeszcze grzechy i upadki – u Niego jest przebaczenie i wszystko, czego potrzebujemy. Dziękuję tylko i wyłącznie Bogu za to, co mam.

W swoim życiu trzy razy próbowałem popełnić samobójstwo. Dzisiaj jestem wdzięczny Bogu, że mogę żyć. Szczególnie chcę podziękować Kasi, która nie była wymieniona w moim świadectwie, a miała ogromny wpływ na moje życie duchowe, Waldkowi, zborowi w Nysie oraz Grześkowi, z którym przebywałem w ZK w Sieradzu.

Patrząc na swoje życie, z jednej strony przytłacza mnie całe to zło, które miało w nim miejsce, ale z drugiej strony tym jaśniej świeci światło Boga, który mnie wyciągnął z tego bagna! Wiem, że jest nadzieja dla każdego człowieka, który zwraca się do Jezusa Chrystusa.

*Z Piotrem można się skontaktować:*

*Piotr („Przekreśleni?”), ul. Kopiec 17, 97-500 Radomsko*

## Tadek: Szukałem prawdziwej wolności

Urodziłem się jako szóste dziecko w rodzinie, w małej miejscowości koło Jasła. Cała nasza wioska była religijna. Chodziliśmy do kościoła katolickiego w przekonaniu, że to wystarczy. W domu nie było Pisma Świętego.

W dzieciństwie mama nie miała dla nas czasu, ponieważ musiała zajmować się gospodarstwem. Tata pracował jako drwal w nadleśnictwie. My, jako dzieci, również mieliśmy swoje zadania. Buntowaliśmy się, kiedy koledzy grali w piłkę, a my musieliśmy pracować. Tata miał twardy charakter i nie liczył się z niczym zdaniem. Wszystko kręciło się wokół niego i musiało być tak, jak on chciał. Był bardzo surowy, stosował różne kary, bił nas czym popadło i nie panował nad sobą. Z tego powodu nie mieliśmy szacunku do niego, tylko odczuwaliśmy strach. Stawaliśmy się coraz bardziej nieposłuszni. Kiedy grzeszyliśmy, przystępowaliśmy do spowiedzi, ale nie miało to żadnego wpływu na nasze życie. Biegło ono dalej w ten sam sposób. W domu na porządku dziennym były awantury i alkohol. Mama nie piła, natomiast tata lubił wódkę. Ciągłe przyjeżdżali do nas leśnicy i urządzali z ojcem „bibę”.

Przystąpiłem do pierwszej komunii. Potem rozpocząłem służbę ministranta. Byłem nim przez kilka lat, bo pragnąłem iść za Bogiem. W domu był katechizm i uczyłem się go na pamięć. Jednak nie rozumiałem, o co chodzi w życiu chrześcijanina. Nie znałem też Biblii. Pod koniec szkoły podstawowej chodziłem już rzadziej do kościoła. Nieraz okłamywałem rodziców, że byłem na mszy, a zamiast tego siedziałem przy piwie w sklepie obok.

Po podstawówce poszedłem do szkoły budowlanej, ale nauka była dla mnie ciężka. Nikogo w domu nie interesowało, czy tam chodzę i jak mi idzie. Z trudem ukończyłem szkołę. Nie chciałem dłużej być pod władzą rodziców

i wyrwałem się z domu. Wyjechałem do Krakowa, aby pracować jako murarz. Poczuję się wtedy wolny, gdyż mogłem robić to, co mi odpowiadało. Mając 17 lat, powiedziałem sobie: „Teraz mogę naprawdę rozpocząć życie!”. I rozpocząłem je... Przyszły papierosy, alkohol i wiele innych rzeczy. Myślałem, że jestem dorosły. Nie zauważyłem, że zacząłem niszczyć samego siebie. W krótkim czasie alkohol zajął pierwsze miejsce w moim życiu. Staczałem się coraz niżej. Zakosztowałem każdego grzechu, który mnie krok po kroku rujnował. Złamałem wszystkie dziesięć przykazań. Zacząłem się zastanawiać: „Co się dzieje? Przecież chciałem być wolny! A tu staję się niewolnikiem!”.

Półtora roku później przyjechał tata, aby mnie odwiedzić. Zobaczył, w jakim stanie byłem i powiedział: „Synu, wracaj do domu!”. Usłuchałem go i wróciłem. Podjąłem pracę w piekarni i pomagałem w domu, ale coraz częściej sięgałem po alkohol i paliłem coraz więcej papierosów. Znowu zapragnąłem wolności i porzuciłem pracę. Zatrudniłem się przy poszukiwaniu ropy naftowej i gazu w Jaśle. Problem alkoholowy cały czas jednak narastał. W pewnym momencie musiałem sam zrezygnować z pracy, bo inaczej zostałemby zwolniony dyscyplinarnie.

Krótko po tym miałem iść do wojska, lecz mogłem je odrobić na kopalni węgla w Jastrzębiu. Zacząłem tam pracować, ale znowu szybko dostałem wypowiedzenie z powodu alkoholu i absencji w pracy.

Pojechałem do Cieszyna, aby odwiedzić brata. Miasto spodobało mi się i osiadłem w nim. Przyjąłem się do prywatnej firmy budowlanej. Zamieszkałem u dziewczyny, którą poznałem w knajpie. Była alkoholiczką i miała córkę. Minęło kilka miesięcy i przestałem pracować. Wiedliśmy straszne życie, odwiedzając meliny, okradając i bijąc innych.

O Bogu całkowicie zapomniałem. Żyłem tak, jakby wcale nie istniał. W moim sercu nie było dla Niego miejsca, chociaż panował tam wielki niepokój. Alkohol zniewolił mnie tak bardzo, że nie byłem w stanie uwolnić się od niego. Podobnie było z papierosami. Palilem jednego za drugim.

Słyszałem czasami, że któryś z moich kolegów dostał się do więzienia, ale myślałem, że ja tam nigdy nie trafię. Kiedy spotykaliśmy się w knajpie, jedynym tematem był alkohol oraz kombinowanie, jak i gdzie coś ukraść, żeby były na niego pieniądze. Nie myślało się o więzieniu. Każdy zakładał, że nikt nas nie złapie. Ale stało się inaczej i to bardzo szybko. Pewnego dnia ciężko pobiliśmy i okradliśmy człowieka, aby zdobyć parę złotych na wódkę. Następnego ranka przed naszymi drzwiami stała policja. Skuli nas w kajdanki i osadzili w areszcie śledczym.

Pamiętam, że napisałem list do domu, kłamiąc, że wsadzili mnie niewinnie do więzienia. Nie wiedziałem jednak, że cieszyńska gazeta opisała całe wydarzenie i mój brat wysłał do rodziców ten artykuł. Wtedy otrzymałem od taty list tej treści: „Przestań kłamać! Przeczytaliśmy wycinek z gazety, napisali tam całą prawdę”. Poczułem się głęboko zawstydzony, ponieważ rodzina o wszystkim wiedziała. Mimo tego rodzice później przysyłali mi paczki. Pamiętam, kiedyś dostałem wodę po goleniu, a współwięźniowie mi ją wypili. Pito cokolwiek, aby nie być świadomym panującej tam rzeczywistości. Miałem wcześniej wyobrażenie, że więzienie to jest coś jak rodzina, gdzie jeden drugiemu pomaga i gdzie wszyscy się rozumieją. Ale to, co tam zobaczyłem, było przerażające. Nasza cela mogła pomieścić dwanaście osób, a nas było ponad dwudziestu. Jedni więźniowie traktowali drugich jak śmiecie i zmuszali ich do okropnych rzeczy. Byłem twardym człowiekiem i nie pozwoliłem im na wiele w stosunku do mnie. Na początku biłem się, dlatego zostawili mnie w spokoju. Innych

niszczyli całkowicie. Oglądając to wszystko, stawałem się jeszcze gorszy. Nieraz leżałem na łóżku w swojej celi i myślałem: „Co ja tu robię? Ci ludzie są gorsi niż zwierzęta!”.

Dzisiaj wiem, że Bóg sprawił cud, bo nie wytrzymałbym tam długo. Byłem pierwszy raz karany i czekałem na wyrok. W tym czasie objęła mnie amnestia i zostałem zwolniony po czterech miesiącach. Jeszcze przed wyjściem wychowawca powiedział do mnie: „Może teraz coś zmienisz i zrozumiesz”. Pytałem go: „Co?”. Wychowawca odpowiedział: „Tata przyjechał po ciebie, aby cię zabrać na swoją odpowiedzialność”. Otworzyli mi bramę więzienia i za nią rzeczywiście stał tata. Obaj rozptakaliśmy się. Powiedział: „Chodź, synu, pojedziemy do domu”. Gdy wracaliśmy autobusem, milczałem, bo nie umiałem wypowiedzieć słowa. Pomimo że tata był surowy w wychowywaniu nas, chciał dla nas dobrze. Były to dla mnie chwile poważnej refleksji. Byłem taki zły, wielokrotnie okłamywałem tatę, nawet go okradałem, a on chciał mi pomóc! Podczas mojego pobytu w areszcie chronił mnie i zakazał rodzinie komukolwiek o tym powiedzieć. W naszej wiosce nikt nic nie wiedział.

Po powrocie do domu szybko znalazłem pracę i zarabiałem sporo pieniędzy. Spłaciłem tacie cały dług – to, co mu wcześniej ukradłem. Byłem w domu, miałem pracę i mógłbym dobrze żyć, ale nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Pewnej niedzieli nie wytrzymałem już dłużej, zabrałem resztę moich pieniędzy, powiedziałem rodzicom, że idę do kościoła, wsiałem do autobusu i pojechałem do Cieszyna. Zamieszkałem znowu u swojej dziewczyny, która również już wyszła z więzienia. W ciągu kilku dni przepiliśmy wszystko, co miałem. Po raz kolejny znalazłem się na dnie. Zrozumiałem, że ta dziewczyna ma na mnie zły wpływ i odszedłem od niej.

Szukając mieszkania, spotkałem człowieka, który zaproponował mi, abym się do niego wprowadził. Tam była jedna wielka melina. Odbywały się libacje, były kobiety itd. Nie miałem pokoju w sercu, ale rządził mną alkohol. Zamiast pracować siedziałem codziennie w knajpach. Piłem, spałem gdzieś w rowach. Nie byłem już właściwie człowiekiem. Miałem myśli samobójcze. Wszystko było mi obojętne. Nic mnie nie cieszyło i interesowałem się wyłącznie pić.

Pewnego roku przed Świętami Wielkanocnymi pojechałem do domu. Wróciłem na Święta do Cieszyna z wielką ilością jedzenia i różnymi rzeczami, które dali mi rodzice. W naszym mieszkaniu imprezowało już dużo ludzi i rzuciłem się w wir zabawy. Upiłem się do nieprzytomności. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że moi „koledzy” okradli mnie i wyrzucili z mieszkania. Nie miałem pieniędzy, jedzenia, ani gdzie spać. Wtedy wpadłem w szał i zacząłem demolować drzwi i szyby w tym domu. Złapałem gospodarza i ściągnąłem go do piwnicy. Gdyby się nie bronił, zabiłbym go. Miał tam jakieś żelazo, walnął mnie w głowę i na moment zemdlałem. Pamiętam, jak później wyszedłem z tej piwnicy cały zakrwawiony. Poszedłem kawałek, nie wiedząc, gdzie się udać. Mając 28 lat, zobaczyłem, że moje życie nie ma sensu. Ludzie stali się dla mnie wrogami, ja także byłem ich wrogiem.

Chodząc tak bez celu, trafiłem na stary garaż. Jak okiem sięgnąć otwarte pole. Była noc i byłem sam. Pomyślałem: „Po co jeszcze żyć? Wykrwawię się tutaj i będzie koniec. Nie będę się więcej męczył”. Usiadłem za garażem i czekałem na śmierć. Po jakimś czasie zasnąłem. Odzyskałem przytomność na pogotowiu. Nie wiem, kto mnie znalazł i zabrał do szpitala. Z dzisiejszej perspektywy myślę, że Bóg posłał Swojego anioła, aby mnie uratować. Pismo

Święte mówi: „Aniołowie są posyłanymi na pomoc tym, którzy mają dostąpić zbawienia” (Hebr. 1,14).

Zacząłem znowu szukać pracy. Przyjęto mnie do Zakładu Farb i Lakierów w Cieszynie. Zamieszkałem w hotelu pracowniczym, gdzie również dużo piłem. Wkrótce przestałem chodzić do pracy i po pół roku ją porzuciłem. W związku z tym nie mogłem dalej mieszkać w hotelu. Udałem się do mojego dawnego majstra z budowy i przedstawiłem mu swoją sytuację. Zawsze był do mnie przychylnie nastawiony. Chciał mi pomóc i przyjął mnie z powrotem do pracy jako murarza. Miał budynek gospodarczy i zaproponował mi, abym tam zamieszkał. Po niedługim czasie zatrudnił pracownika, który wprowadził się do mnie. Tak jak ja był pijakiem. Nasze mieszkanie stawało się meliną. Najbliższy sąsiad też pił, ale miał z nas korzyści, bo robił wino, a my, aby się napić, musieliśmy mu za nie płacić. Każdą wypłatę roztrwaliśmy na alkohol. Tak biegło życie. Obaj byliśmy tym zmęczeni.

W pewnym momencie zacząłem szukać Boga. Przypomniały mi się lekcje religii z dzieciństwa, na których ksiądz mówił nam o Bogu. Powiedział, że On jest wszechmocny i że jest wszędzie. Dlatego któregoś dnia wybrałem się z sąsiadem, który był katolikiem, do kościoła. Poszedłem tam trzy razy, ale nic się nie zmieniło, byłem cały czas taki sam. Zastanawiałem się, co się ze mną stanie, jeśli będę dalej tak żył. Pamiętam dzień, kiedy zdesperowany swoim życiem upadłem na kolana i zawołałem: „Boże, jeśli jesteś, to dlaczego tak się męczę?”.

Następnego ranka pojechałem do pracy i spotkałem kolegę, który opowiadał, jak Bóg odmienił jego życie, uwolnił go od alkoholu i uzdrowił z nieuleczalnej choroby! Wcześniej nigdy o czymś takim nie słyszałem. Moje serce biło szybciej i wiedziałem, że przez niego przemówił do mnie Bóg. Franek widział, że coś się ze mną dzieje,

podszedł do mnie i powiedział: „Chodź, pójdziemy się pomodlić”. Odparłem, że tego nie umiem, a on odpowiedział: „Ja się będę modlił, a ty powtarzaj”. Prowadził mnie w tej modlitwie do upamiętania. Prosił Boga, żeby też zmienił moje życie, tak jak on sam tego doświadczył. Kiedy wstaliśmy z kolan, Franek mnie ucisnął i powiedział: „Przyjąłeś Pana Jezusa do swojego serca”. Myślałem: „Co on mówi?! O co chodzi?”. Ale nic więcej nie powiedział, tylko zawiózł mnie do domu i dał mi Pismo Święte. Zacząłem czytać coraz więcej. Wiele z niego nie rozumiałem, jednak czytałem je dzień i noc. Byłem głodny Słowa Bożego. Kiedy szedłem do pracy, chodziłem z Biblią. Kiedy siedziałem w autobusie, czytałem ją. Wszędzie niosłem ją ze sobą.

Nadchodziły Święta Bożego Narodzenia. Brat zaprosił mnie do siebie do domu, abym spędził te dni razem z nim. Pamiętam noc, kiedy już spaliśmy, usłyszałem jakby z otwartego nieba wyraźny głos: „Ja ciebie oczyszczę, uwolnię cię i będziesz moim świadkiem”. Byłem przerażony i nie mogłem już zasnąć. Miałem świadomość, że Bóg osobiście do mnie przemówił. Rano poszliśmy z bratem do knajpy, ale w moim sercu coś się zmieniło. Powiedziałem bratu, że wypiję tylko jedno piwo. Patrzył zdziwiony i nie rozumiał mnie. Wiedział, że zawsze piłem wielkie ilości. Czułem się źle i chciałem jak najszybciej wyjść z baru. Kiedy przyszedłem do swojego domu, upadłem na kolana, zacząłem wyznawać swoje grzechy i płakać. Wiedziałem w tej chwili, że Bóg jest ze mną. Czułem, jakby jakiś ciężar ze mnie spadł. Poczułem się wolny i spokojny. Wtedy zrozumiałem bardzo jasno, że Jezus Chrystus umarł za moje winy, abym już więcej nie grzeszył. Ogromna radość przepelniała moje serce. Płakałem bardzo i trudno mi było pojąć, że Pan Jezus przyjął takiego grzesznika jak ja. Stałem się dzieckiem Bożym! Dwa dni po tym wydarzeniu zorientowałem się, że w ogóle nie piję! Od razu



opowiadałem innym, co Bóg uczynił w moim życiu. Ludzie pytali: „Co się stało z Takiem?”. Moja droga już nie była tą, którą dotychczas szedłem. Moje myśli były już inne.

Kolega, z którym mieszkałem, nie interesował się wcale Bogiem. Mówiłem mu o zmianie w moim życiu. Sam też ją widział. Mimo to, dalej żył tak jak przedtem, a nawet za wszelką cenę chciał mnie z powrotem wciągnąć w to samo środowisko, z którego wyszedłem. Dużo ludzi podawało mi alkohol i próbowało wszystkiego, abym odszedł od Boga. Jakby całe piekło walczyło o moją duszę. Często w nocy nie spałem, bo przychodziło mnóstwo złych myśli, które mi kazały wyprzeć się Pana Jezusa. Było wiele sytuacji, kiedy wręcz odczuwałem, że diabeł chce zniszczyć mnie całkowicie. Ale mimo to wiedziałem, że jestem już własnością Boga, gdyż Pan Jezus został moim Zbawicielem.

Pewnego razu miałem sen: Widziałem piękny pałac. Szedłem do niego, a wraz ze mną dwóch aniołów. To byli ci, którzy nade mną czuwali aż do momentu mojego nawrócenia. Oni zostali wpuszczeni do środka i usłyszałem głos: „Chodźcie, bo wykonaliście swoją służbę”. Ja stałem w przedsionku, ale nie zostałem wpuszczony. Pytałem, dlaczego i ja nie mogę wejść. Wtedy usłyszałem: „Jeszcze nie wykonałeś misji, do której cię powołałem”. Gdy obudziłem się z tego snu, wiedziałem, że Bóg ma plan dla mojego życia. Wtedy Pan Bóg w ponadnaturalny sposób zaczął mi się objawiać. Raz zabrał mnie jakby do góry i powiedział: „Spójrz na dół”. Zobaczyłem, jak ludzie leżeli na ziemi. Już nie chodzili, bo tak byli obciążeni grzechem. Wtedy Pan powiedział mi wyraźnie: „Dlatego chcę, abyś był moim świadkiem”.

Miałem też wizję piekła. Zostałem tam sprowadzony, żebym zobaczył, jak straszne jest życie w tym miejscu. Słyszałem nieopisane jęki, coś przerażającego. Bóg

pokazał mi, z czego mnie wyrwał i jaka wielka łaska mnie spotkała.

Franek był dla mnie na początku jakby „duchowym ojcem”. Często zabierał mnie do swojej rodziny, modliliśmy się razem i rozmawialiśmy o wielu sprawach. Zaprosił mnie także do zboru „Kościoła Wolnych Chrześcijan” w Cieszynie. Tam przyjęto mnie bardzo serdecznie. Jedna rodzina w szczególny sposób mną się zajmowała, zapraszała mnie do siebie na obiady i zawsze też modliła się ze mną. Spędzałem z nimi dużo czasu.

Pan Bóg uczył mnie wtedy wielu rzeczy. Miałem zniszczony umysł i nie potrafiłem żyć normalnie. Byłem wielkim bałaganiarzem, ale On uczył mnie porządku – zarówno w domu jak i w pracy. Uczył mnie, jak wsiadać do autobusu – wcześniej nie widziałem ludzi, którzy byli w potrzebie, np. starszych, którym trzeba było ustąpić miejsca. Oczyścił również moje słownictwo, które do tej pory pełne było przekleństw. To wszystko wymagało wiele czasu.

Na początku mojego nowego życia jeszcze paliłem. To był dla mnie wielki problem i nie radziłem sobie z tym. Kiedy paląc szedłem do pracy, Franek mnie pytał: „Dlaczego jeszcze palisz?”. Powiedziałem: „Przecież chcę rzucić palenie, ale nie umiem!”. Sam wiedziałem, że coś jest nie tak. Tyle złego Pan Jezus mi już zabrał, a jeszcze paliłem. Tej nocy usłyszałem wyraźny głos: „Czy wierzysz, że nie będziesz palił?”. Powiedziałem: „Tak, Panie, wierzę”. Odpowiedź brzmiała: „To nie będziesz palił”. I tak było! Od razu Bóg zabrał wszelkie pragnienie papierosów i stałem się wolnym człowiekiem.

Zauważyłem też inny rodzaj związania w swoim życiu. Był nim telewizor, przed którym marnowałem wiele cennego czasu. Nagle zaczął mi przeszkadzać. Powiedziałem: „Panie Jezu, zrób z nim, co chcesz!”. Za chwilę przyszedł

ktoś i powiedział: „Słyszałem, że chcesz sprzedać telewizor”. Nie chciałem od niego ani grosza. Dałem mu telewizor i od tego dnia mogłem spokojnie czytać Biblię, bo nic mi już nie przeszkadzało.

Cały czas chodziłem do zboru, modliłem się, uczestniczyłem w spotkaniach domowych, czerpałem jak najwięcej ze Słowa Bożego i wspólnoty z innymi chrześcijanami. Po pewnym czasie zapragnąłem mieć żonę i powiedziałem: „Panie, proszę daj mi żonę. Widzisz, że jej potrzebuję”. Bóg odpowiedział: „Dam ci ją, tylko poczekaj”. Jeździłem na różne konferencje i zawsze pytałem: „Panie, czy ona jest tutaj?”. Pan odpowiadał: „Nie ma jej”. Dalej czekałem. W tym czasie majster przyjął do naszego domu dwie kobiety. Były z moich rodzinnych stron, ale były to dziewczyny „łatwe”. Chciały, żebym z nimi był i próbowały mnie kusić alkoholem. Była to dla mnie ogromna walka. Pragnąłem żony, a tu mógłbym mieć aż dwie dziewczyny. Ciągle się modliłem i trwałem przed Bogiem. Powiedziałem o tej sytuacji w zborze i przyjaciele razem ze mną się modlili, aby Pan Jezus mnie z tego miejsca zabrał. Wtedy przyjęli mnie jako gospodarza zboru i mogłem tam zamieszkać.

Wiedziałem, że Pan Jezus przygotowywał mnie do małżeństwa, abym był dojrzałym mężem. Czekałem w tej sprawie na Niego. Zawsze mówiłem: „Bóg mi powiedział, że da mi żonę. Ja jeszcze nie wiem, kto nią będzie, dlatego nie będę nic robił”. Chciałem mieć żonę, którą On przygotował dla mnie.

W zborze była Zosia, z którą miałem dobrą relację, lecz nie myślałem o niczym więcej i traktowałem ją jak siostrę. Miała męża i córkę, ale jej mąż był alkoholikiem. Pamiętam jeszcze, jak o niego się modliliśmy. Jednak zmarł z powodu nadużywania alkoholu. Dla całego zboru był to bardzo trudny czas.

Minęły dwa lata, z Zosią widywaliśmy się na spotkaniach zborowych, dużo rozmawialiśmy i mieliśmy ze sobą dobry kontakt. Pewnego dnia Bóg przemówił do mnie: „Masz miłość, ale egoistyczną. Chcę ci dać moją miłość, również dla żony, którą otrzymasz”. Zacząłem to rozumieć, gdyż faktycznie w moim życiu było wiele egoizmu. Nagle jakby łuski spadły z moich oczu. Wtedy przyszła do mojego serca pewność, że Zosia będzie moją żoną! Już wiedziałem, co mam zrobić. Oświadczyłem się i poprosiłem rodziców o jej rękę. Cztery miesiące później pobraliśmy się. Dostałem więc nie tylko żonę, lecz od razu też córkę. To był kolejny Boży cud i potwierdzenie, że Pan daje to, co ma dla nas najlepszego. Po jakimś czasie Bóg dał nam także syna. Dziękuję Mu za to z całego serca.

Dzisiaj nie tknę żadnego alkoholu. Jest mi niepotrzebny. Pan Jezus całkowicie mnie uwolnił i zabrał pragnienie picia z mojego serca. Nie stwarzam sobie sytuacji, w których miałbym z nim do czynienia. Nie chcę go nawet trzymać w rękach. Mam głęboką świadomość, ile lat mojego życia straciłem przez alkohol i jaką wysoką cenę zapłacił Pan Jezus, aby mnie uratować.

Od kilku miesięcy razem z grupą ze Stowarzyszenia FILEO odwiedzam więźniów w cieszyńskim zakładzie karnym. Bóg pokazał mi, że mam się zaangażować w tym miejscu. Jestem Mu bardzo wdzięczny, że mogę się podzielić tym, co On uczynił z miłości do nas – by nas uratować z naszych grzechów. Życzę nam wszystkim, abyśmy się zupełnie poddali Bogu i aby każdego dnia On nas prowadził. Pan Jezus wydał samego siebie za nas, abyśmy więcej nie służyli grzechowi, lecz Bogu. Niech Jemu będzie chwała!

*Z Tadekiem można się skontaktować:*

*Tadek („Przekreśleni?”), ul. Korfantego 24, 43-400 Cieszyn*

## Wojtek: Ludzie mnie dawno przekreśliли

Urodziłem się w 1968 roku w Malborku. Kiedy myślę o swoim dzieciństwie, przypomina mi się, jak tata, mama, moja starsza siostra i ja siedzimy przy stole w czasie niedzielnego obiadu, pies Majka czeka na kość i czuję się szczęśliwy. Miałem zawsze świadomość, że moi rodzice mnie kochają i chcą mojego dobra.

Ani w szkole podstawowej, ani później w zawodówce nie było ze mną problemów. Byłem sumienny i uczyłem się. Skończyłem szkołę w 1986 roku i nie chciałem się już dalej uczyć. Myślałem o pracy, by zarabiać pieniądze. Zdobyłem wykształcenie zawodowe jako mechanik maszyn i urządzeń. Nie mając jeszcze 18 lat, podjąłem pracę w zakładzie mechanicznym w Malborku. Do tego momentu życia wszystko dobrze mi się układało.

Od dłuższego czasu słuchałem muzyki punk-rockowej. Po ukończeniu szkoły, poznałem ludzi z tej sceny i nawiązałem z nimi kontakt. Inaczej wyglądali, mieli długie włosy, oryginalne spodnie i byli po prostu inni. Robili na mnie wrażenie wyluzowanych i wolnych ludzi. Zobaczyłem w nich „bratnie dusze”. Szukałem akceptacji i przynależności. Czułem, że u nich to znajdę.

Kiedy zacząłem spotykać się z tymi ludźmi, w moim życiu pojawił się również alkohol. Spotykaliśmy się po domach, często też imprezowaliśmy nad rzeką Nogat niedaleko zamku malborskiego. Piliśmy dużo, przeważnie piwo i tanie wino. Na początku nie wiedziałem o tym, że niektórzy z nich brali narkotyki. Nagle zobaczyłem, jak wstrzykują sobie działkę heroiny. Nie krępowali się brać przy mnie, a ja tolerowałem to, co robili. Oni raczej odradzali mi branie, ale potem sam chciałem spróbować. Wtedy rozpoczęła się moja zła „przygoda” z narkotykami.

Wszystko nabrało rozpędu, gdy zacząłem razem z moimi kolegami jeździć na koncerty rockowe do Jarocina. Porzuciłem pracę – zaledwie trzy miesiące po jej podjęciu, gdyż nie chciało mi się już pracować.

W pewnym momencie jeden z kolegów zapytał mnie, czy mógłbym im użyczyć mieszkania do produkcji heroiny. Mieszkałem z rodzicami, ale od rana nikogo nie było, ponieważ rodzice wychodzili do pracy. Koledzy o tym wiedzieli. Lubiłem ich, więc zgodziłem się. Z takiej produkcji zawsze była również część dla mnie. Trochę heroiny brałem sam, resztę sprzedawałem. Zacząłem handlować heroiną, miałem do niej bezpośredni dostęp u siebie w domu.

Dojście do mocnego nałogu było stopniowe. Najpierw się spotykaliśmy, była muzyka, potem koncerty i alkohol, później leki mieszane z alkoholem, a w końcu narkotyki i branie dożylnie. W tamtych czasach – w latach osiemdziesiątych – Malbork był miastem, w którym było dużo ludzi uzależnionych od narkotyków. Osobiście znałem kilkudziesięciu narkomanów. Na 40.000 mieszkańców była to bardzo duża liczba.

Zawsze byłem nieśmiały, małomówny, nie umiałem nawiązywać relacji z ludźmi, szczególnie z dziewczynami, byłem przy tym spięty i miałem zaniżone poczucie wartości. Dlatego też przestałem się uczyć. Nie chciałem pójść dalej. Mogłem zrobić prawo jazdy za darmo, ale myślałem, że pewnie nie dam rady, więc po co? Miałem cały czas negatywne nastawienie, że nic w życiu mi się nie uda. Po co robić prawo jazdy, skoro nigdy nie będę miał samochodu? Takie były moje myśli o sobie i o swoim życiu.

Kiedy zacząłem pić alkohol i brać narkotyki, miałem wrażenie, że wyciszyłem się. Zobaczyłem, że te środki mnie rozluźniają. Wydawało mi się, że dopiero dzięki nim

jestem normalny, normalnie rozmawiam i normalnie się zachowuję. Kiedy ich nie było, pojawiały się lęk i panika.

Oprócz uzależnienia psychicznego doszło bardzo szybko do uzależnienia fizycznego. Ciało domagało się narkotyków. Przeżywałem dreszcze, delirium itd. Na początku udawało mi się ukrywać mój nałóg przed rodzicami. Starąłem się przychodzić do domu, jak już trochę otrzeźwiałem, a potem szybko kładłem się spać. Unikałem rodziców. Ale po pewnym czasie moja mama zobaczyła plamki krwi na koszuli na przedramieniu, tam gdzie się „kłułem”. Później widywali mnie już, gdy byłem pod wpływem narkotyków, a ja kłamałem. Mówiłem im, że to po alkoholu, że trochę za dużo wypięm. Bardzo źle się czułem, było mi wstyd, że jestem narkomanem.

Produkcja heroiny w moim mieszkaniu skończyła się i musiałem ją kupować. Miałem pieniądze, bo dostawałem zasiłek dla bezrobotnych. Prosiłem także rodziców o pieniądze, ale okłamywałem ich, że muszę sobie kupić coś potrzebnego.

Powołano mnie do wojska. Nie chciałem tam iść i uciekłem do szpitala psychiatrycznego, żeby tylko mieć jakiś papier, że coś ze mną jest nie tak. Już wtedy zostałem zarejestrowany jako narkoman biorący. Dostałem z komisji poborowej skierowanie, że mam odrabiać wojsko w szpitalu. Bardzo mi to odpowiadało, gdyż dostawałem żołd i miałem równocześnie dostęp do różnych środków w szpitalu. Przez półtora roku chodziłem do tej pracy. Moje uzależnienie się pogłębiało. W pracy dowiedzieli się o tym, ale machnęli na to ręką. Nie interesowali się tym za bardzo. Nie bywałem tam regularnie, ale starałem się, żeby w ciągu dnia przynajmniej ktoś mnie w pracy zobaczył. Później nikt już tego nie pilnował, czasami koledzy podpisywali za mnie listę, że niby byłem na terenie.

Mieszkałem cały czas z rodzicami. Zobaczyli mój stan i prosili mnie, żebym jechał na odwyk. Wiele razy obiecywałem im, że coś zmienię i że przestanę brać. Sam chciałem się z tego uwolnić. Wiedziałem, że nie mogę tak żyć. Nie miałem nawet 20 lat. Pojechałem na pierwsze odtrucie. Byłem tam przez tydzień. Trochę fizycznie doszedłem do siebie, ale psychicznie pozostałem niezmienny. Rodzice starali się, aby mi pomóc, ale nie potrafiłem skorzystać z ich pomocy. Chcieli dla mnie zawsze dobrze. Kiedy co jakiś czas jeździłem na odwyki, niejednokrotnie coś mi tam przywozili: słodycze, papierosy, kawę itp.

W ciągu dwunastu lat mojego życia w uzależnieniu byłem kilkanaście razy na odtruciach. Zawsze po takim detoksie wracałem do starego środowiska oraz kolegów i zaczynałem na nowo. Wprowadzie najpierw brałem sobie zamiennik – piłem alkohol, ale po kilku dniach zażywałem znowu heroinę. Nie radziłem sobie bez narkotyków. Po pierwszych dwóch detoksach jeszcze wierzyłem, że wyjdę z nałogu, ale potem już nie. Wiedziałem, że to jest silniejsze ode mnie. Wszystkie moje rzeczy – gitarę, magnetofon, sprzęt – sprzedawałem na narkotyki.

Byłem kilkakrotnie hospitalizowany i leczony, miałem założoną kartę u psychiatry i dostawałem leki. Bez wiedzy lekarza mieszałem te leki i sprzedawałem je. Nie miałem pracy, ale nawet za bardzo nie mogłem pracować. Potrzebowałem dużo czasu, żeby zdobyć heroinę i byłem opanowany myślami, skąd łatwo wziąć pieniądze.

Całe moje uzależnienie trwało do 2000 roku. Kiedy człowiek bierze narkotyki, to prawie w każdym przypadku jest tak, że się schodzi na drogę przestępstwa. Zaczynają się kradzieże, bójki, włamania itp. Tak wyglądało też moje życie. Kradłem w szpitalu i różnych sklepach, przeważnie leki i książki, encyklopedie oraz słowniki, które sprzedawałem po okazyjnej cenie. Z tego się utrzymywałem. Miałem



różne sprawy sądowe za kradzieże. Dostawałem kary w zawieszeniu. Pewnego dnia przyjechała policja i okazało się, że wyrok został odwieszony i zamieniony na karę pozbawienia wolności. Wzięli mnie bezpośrednio z domu. Przeżywałem głody narkotyczne i było mi bardzo ciężko. W więzieniu byłem przez rok, najpierw w Malborku, potem w Elblągu. Ale również tam uzyskałem dostęp do narkotyków i leków, więc nawet będąc w więzieniu, nie zerwałem z nałogiem. Czułem się bezradny i bezsilny. Chociaż miałem niewielki wyrok, marzyłem o ucieczce z więzienia...

Po roku wróciłem do swojego miasta. Tam byłem już zdeklarowanym narkomanem. Nie robiłem nic innego poza braniem heroiny i kombinowaniem pieniędzy. Nie miałem kontaktów z ludźmi. Moje życie było skoncentrowane tylko na zdobywaniu narkotyków. Już dwa dni po powrocie z więzienia znowu brałem heroinę. Zniszczyłem przez to swoje zdrowie, miałem blizny po samookaleczeniach na rękach i ciele. Pod wpływem środków ciąłem się żyłką z nienawiści do siebie. Także po wielokrotnych nakłuciach w to samo miejsce zrobiły mi się blizny. Zęby się „posypały”. Psychicznie czułem się przegrany.

W międzyczasie wielu moich kolegów zmarło. Przychodziłem do kogoś, dzwoniłem, a już go nie było, bo przedawkował. Miałem świadomość, że kiedyś ktoś może przyjść do mnie, zapukać do moich drzwi, a mnie już nie będzie. Tego się bałem, bałem się śmierci.

W czasie mojego nałogu kilka razy pojawiały się osoby, które mówiły mi o Bogu. Pamiętam sytuację z Gdańska. Czekałem na kogoś i nagle podszedł do mnie chłopak, który przeczytał mi fragment z Pisma Świętego i mówił o Jezusie. Ale wtedy nie chciałem o tym słyszeć. Chłopak był taki opanowany i uśmiechnięty. Sprawiał wrażenie szczerego i chyba tym mnie onieśmielił.

Kiedy byłem w więzieniu kolega na moją prośbę przestał mi Biblię. Już przedtem od czasu do czasu czytałem krótkie fragmenty z Nowego Testamentu. Ciekawiło mnie Słowo Boże. Zawsze miałem świadomość, że Bóg istnieje. Wprawdzie nie było Go w moim sercu, ale wiedziałem, że On jest.

Czasami brałem narkotyki z tej samej strzykawki razem z ludźmi, którzy byli zarażeni wirusem HIV. Wiedziałem o tym, ale była tylko jedna strzykawka i nie było czasu, aby ją wyczyścić. Miałem kilka takich przypadków. Kiedy potem trzeźwiałem, bardzo się bałem. Widziałem na detoksach, jak wygląda człowiek, w którego ciele rozwija się ta choroba. Bałem się, że dopadnie i mnie. Więc ze strachu zacząłem się modlić: „Panie Boże, spraw, żebym nie był zarażony!”. Byłoby to dla mnie jak wyrok śmierci.

Na odtruciach też myślałem o Bogu. Na moim ostatnim odwyku powiedziałem: „Boże, jeśli jesteś, to daj mi jakiś znak!”. I Bóg dał mi znak! Słuchałem radia i nagle imię „Jezus” pojawiło się w trzech utworach! Jedna z piosenek była o tym, że Bóg pomaga i podnosi z upadku. Mocno mnie to uderzyło. Wiedziałem, że te słowa były skierowane do mnie. Powiedziałem Bogu: „Wiem, że to, co robię jest złe, ale potrzebuję tego. Nie potrafię z tym skończyć”.

Zawsze wiedziałem, że postępuję źle. Niektórzy narkomani celowo uzależniali swoje dziewczyny. Ja nigdy nie mówiłem, że narkotyki to coś dobrego. Nie zachęcałem nikogo do brania. Jednak sam nie umiałem żyć bez heroiny. Dla mnie był to sposób, by „normalnie funkcjonować”. Potrzebowałem tych wszystkich „zaspokajaczy”, aby w tym świecie w ogóle jakoś żyć.

Pamiętam Sylwester 1999/2000. Zwróciłem się do Boga i prosiłem Go, żeby mnie uwolnił i zrobił coś z moim życiem. Zadzwoiłem na detoks do Gdańska, było miejsce

i już 4 stycznia mogłem przyjechać. Jeden z lekarzy mi powiedział: „Panie Wojtku, pan jest już ósmy raz u nas. Przydałby się panu ośrodek, żeby odpocząć”. Bałem się ośrodka, bałem się ludzi, bałem się już wszystkiego. W mojej głowie słyszałem głos potępienia: „Nie uda ci się i umrzesz!”. Cały byłem opanowany przez strach. Nie potrafiłem odrzucić tych myśli.

Jednak po miesiącu odwyku za namową personelu pojechałem do ośrodka „Teen Challenge” w Broczynie. Powiedzieli mi tylko, że jest to chrześcijański ośrodek, ale nie za bardzo wiedziałem, o co chodzi. Akurat było tam wolne miejsce. Przyjechałem od razu po detoksie. Już pierwszego dnia w ośrodku usłyszałem o Jezusie. Zdziwiło mnie, że moi trzej współlokatorzy modlą się wieczorem przed pójściem spać i otwarcie mówią o Bogu. Widziałem, że wszyscy tam czytają Pismo Święte, modlą się głośno i śpiewają pieśni. Spodobała mi się atmosfera i nastrój, który panował w ośrodku. Spotkałem ludzi, którzy mieli jeszcze gorsze problemy i byli w nałogu dłużej niż ja. Słyszałem ich historie o tym, jak poznali Jezusa. Opowiadali mi, że On ich uwolnił, zmienił ich życie i jest żywym Bogiem. Powiedzieli, że Jezus interesuje się także mną. Wiedziałem, że Bóg istnieje, ale nie byłem świadomy, że chce **mi** pomóc i chce panować w **moim** życiu. Mimo tego, że wcześniej czytałem Słowo Boże – w więzieniu nawet bardzo dużo – nie miałem osobistej relacji z Panem Bogiem. W ośrodku zobaczyłem jednak, jak wygląda to w praktyce. Byli to ludzie podobni do mnie, a zwyczajnie pracowali i normalnie funkcjonowali. Zachęciło mnie to, aby zostać w ośrodku.

W pewnym momencie jeden z pacjentów mnie zapytał: „Wojtku, czy chcesz przyjąć Pana Jezusa Chrystusa?”. Jeszcze nie wiedziałem, co to dokładnie znaczy, ale powiedziałem: „Tak!”. Pomyślałem sobie, że tego jeszcze nie

zrobiłem i chyba to jest to, czego potrzebuję. Zapytał mnie: „Kim jest Jezus?”. Myślałem, że chce się do czegoś przyczepić, nie rozumiałem, dlaczego o to pyta. Odpowiedziałem: „Wiem, kim jest Jezus. Jest Synem Bożym”. Inny kolega, który był z nami, pytał dalej: „A kim jest Jezus dla ciebie osobiście?”. To było pytanie zasadnicze! Wiedziałem, że powinienem powiedzieć, że Jezus jest moim Panem, ale coś mnie chwyciło za gardło i nie mogłem tego powiedzieć. Słyszałem wewnętrzny głos: „Jeśli to powiesz, to będziesz płakał i będziesz poniżony. Nie rób tego!”. Nie potrafiłem tego wypowiedzieć. Pomodlili się o mnie i poszedłem do swojego pokoju.

Jeden z moich współlokatorów też mówił mi wtedy o Jezusie, opowiadał o swoim nawróceniu i powiedział, że Jezus mnie kocha. W tym momencie doświadczyłem osobistego spotkania z Panem Jezusem! Miałem nagle świadomość wszystkich swoich grzechów i tego, że zasłużyłem na śmierć. Myślałem: „Jezus jest teraz tutaj i muszę Go poprosić, żeby mi przebaczył!”. Bardzo się przestraszyłem, bo czułem, jakbym zobaczył Go fizycznie. Ogarnął mnie taki lęk, że upadłem na kolana. Usłyszałem głos: „A teraz się módl!”. Nie wiedziałem, jak się modlić, ale pamiętałem modlitwę Pańską „Ojcze nasz”. Wypowiedziałem tę modlitwę i prosiłem Jezusa, żeby mnie nie odwoływał z tej ziemi. Wiedziałem, że zasłużyłem na śmierć, a On może o tym zdecydować. Całe moje życie stanęło mi przed oczami. Czułem bardzo głęboko, że jestem grzesznikiem. Spotkałem się z Jezusem jako Panem.

W tym ośrodku były również wspólnoty modlitewne i pamiętam, że 7 lutego 2000 roku głośno się pomodliłem: „Panie Jezu, Ty jesteś moim Panem i Zbawicielem!”. Potem już zacząłem modlić się codziennie i dziękować Bogu. Czytając Biblię, dowiedziałem się więcej o Panu

Jezusie i uświadomiłem sobie, że jestem uwolniony. Poczulem taką wolność, jakby ktoś zdjął ze mnie cały ten ciężar. Zacząłem normalnie żyć. Zauważyłem, że nie potrzebuję alkoholu, aby się dobrze poczuć, ani narkotyków, ani leków, ani niczego innego, tylko Pana Jezusa.

Po siedmiu miesiącach pojechałem na pierwszą przepustkę do Malborka. Wiedziałem, że Pan Bóg jest ze mną. Spotkałem kolegów i powiedziałem im o tym, że Jezus mnie uwolnił. Byli zdziwieni. Nie zachęcali mnie już do brania.

Będąc w ośrodku, zacząłem się modlić o żonę. Wracając z przepustki do ośrodka, spotkałem na dworcu Anię. Usłyszałem wewnętrzny głos: „To będzie twoja żona”. Później się okazało, że ona wtedy usłyszała: „To będzie twój mąż”. Miałem faktycznie głębokie przekonanie, że to będzie moja żona. Chyba było to coś takiego, o czym czytałem w Piśmie Świętym, kiedy Adam zobaczył Ewę i powiedział: „Ta dopiero jest kością z moich kości”. Dopiero ta. Miałem takie samo przeświadczenie. Nigdy przedtem nie miałem tyle śmiałości, by będąc trzeźwym, nawiązać jakąś rozmowę z dziewczyną. Do Ani jednak przysiadłem się, zacząłem z nią rozmawiać, opowiedziałem jej trochę o swoim życiu. Nasza rozmowa cały czas upewniała mnie, że to jest ta, a nie inna. Ania studiowała w Cieszynie pedagogikę i odbywała w ośrodku praktykę. Potem wyjechała, ale zostawiła mi swój adres. Zaczęliśmy pisać. Dużo pisaliśmy o Bogu. Ona posyłała mi zawsze zachęcające wersety, które były odpowiednie na tamten czas.

Po roku wychowawcy zdecydowali, że pojedę do hostelu w Cieszynie. Hostel był końcowym etapem terapii. Bardzo się ucieszyłem, ponieważ Ania mieszkała w Wiśle, więc miałbym do niej bliżej. Ale niezależnie od tego byłem już wtedy na takim etapie, że wiedziałem, iż gdziekolwiek by mnie posłali, wszystkiego posłucham. Nauczyłem się, że

Bóg mówi przez autorytety ludzkie i warto być im poddanym, szczególnie autorytetom, które służą Bogu, jak wychowawcy i pastorowie. Wiedziałem, że to są ludzie, których Bóg postawił na mojej drodze, żeby mi pomóc.

Kiedy przyjechałem do Cieszyna, zacząłem się spotykać z Anią. Wtedy jeszcze studiowała i widywaliśmy się po jej zajęciach. Po pół roku ogłosiliśmy nasze zaręczyny w zborze Elim w Cieszynie, a potem wzięliśmy ślub. W hostelu mieszkałem przez rok jako pacjent, a po ślubie mieszkaliśmy tam razem z Anią jako pracownicy Misji.

Mamy dwóch synów: Benjamina i Samuela. Bóg radykalnie pozmieniał wszystko w moim życiu. Dał mi wspaniałą żonę, dzieci i służbę – to, co kiedyś wydawało mi się niemożliwe i nie do osiągnięcia. W ośrodku w Broczynie słyszałem po raz pierwszy świadectwa ludzi takich jak ja. Powiedzieli mi, że Jezus zmienił ich życie, dał im pracę, żonę, wszystko, czego potrzebowali, bo się modlili. Pamiętam, że wtedy powiedziałem: „Boże, żebyś Ty mi mógł tak pomóc i moje życie tak ułożyć, to ja będę Ci służył do końca życia!”. I Bóg mi pomógł! Ustatkował moje życie. Pomaga mi cały czas. Mam także świadomość swoich braków, ale też tego, kim jest Jezus Chrystus. Wiem, że w każdej sprawie mogę się do Niego zwrócić. On jest moim fundamentem, moją skałą i chcę Mu służyć. Lubię mówić o Jezusie, ponieważ Jemu wszystko zawdzięczam. Przez ludzi byłem przekreślony. Nikt nie wierzył, że jeszcze coś dobrego mogłoby stać się w moim życiu. A jednak dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych! On uczynił głęboko uzależnionego narkomana spełnionym człowiekiem. Wiadomo, tak jak każdy przechodzę też problemy. Diabeł cały czas mnie atakuje. Wiem jednak, że jedynym ratunkiem dla mnie jest bliska relacja z Jezusem.

Jezus Chrystus ma moc zbawić człowieka, ale gdy człowiek odrzuca zbawienie, to ma moc wrzucić go do piekła.

Chociaż to nie jest to, czego Bóg dla nas chce! Jednak każdy z nas ma wolną wolę.

Kiedyś w ośrodku wychowawca zapytał mnie: „Wojtku, co byś chciał robić w życiu?”. Było to dla mnie bardzo mocne pytanie, gdyż nigdy wcześniej o tym nie myślałem. Zastanowiłem się i odpowiedziałem: „Chciałbym głosić Słowo Boże”. To mi się podobało. Lubię Pismo Święte, lubię być w kościele. Później pracownicy hostelu powierzyli mi służbę, dzięki której mogłem dzielić się Słowem Bożym z tymi, którzy byli w ośrodkach, więzieniach lub na ulicy. Cieszę się, że mogę robić to do dziś. Sam doświadczyłem, że Jezus może pomóc i zmienić życie. To nie jest moja zasługa, dlatego za wszystko oddaję **Jemu** chwałę.

Zawsze podkreślam: „Jeśli Bóg pomógł takiemu grzesznikowi jak **ja**, to tym bardziej **tobie** pomoże! To nie znaczy, że nie będziesz miał problemów. Doświadczenia przychodzą, pokusy przychodzą, ale cały czas możesz się zwracać do Jezusa, możesz pokutować ze swoich upadków, ze złych myśli i iść do przodu. Wiem, że Jezus daje siłę do sprawiedliwego życia”.

*Z Wojtkiem można się skontaktować:*

*Wojtek („Przekreśleni?”), ul. Bóźnicza 5, 43-400 Cieszyn*

## Tomek: Złamane przekleństwo

Początek mojego dzieciństwa był burzliwy. Gdy miałem pięć lat, zmarła moja mama, a babcie kłóciły się o to, która miała mnie wychowywać po jej śmierci. Sprawa toczyła się w sądzie i zdecydowałem, że chcę zostać z ojcem i jego mamą.

Zanim mama zmarła, rodzice byli już w separacji. Tata nie radził sobie z samym sobą, miał problemy z alkoholem. Nie byłem członkiem w pełni normalnej rodziny. Babcia starała się mnie wychować, ale nie okazywała mi zbyt wiele miłości. Odkoczną była siostra ojca, u której spędzałem dużo czasu. Dwie kuzynki i kuzyn częściowo zastępowały dom rodzinny, którego mi brakowało. Jednak babcia bardziej akceptowała dzieci mojej ciotki, więc podążałem swoim torem. Od samego początku musiałem liczyć na siebie. Moim bliskim przyjacielem był jedynie Bogdan, z którym trzymaliśmy się zawsze razem. Zazdrościłem mu domu, kochającej matki, brata i siostry.

Skończyłem podstawówkę i rozpocząłem naukę w szkole zawodowej w Grudziądzu. Zaprzyjaźniłem się z kolegami starszymi ode mnie. Fascynowały mnie motocykle. Już w wieku 15 lat miałem swój motor, wprawdzie stary model, ale uwielbiałem jeździć po pobliskich lasach. Zaczęły się kradzieże paliwa. Nie miałem żadnych pieniędzy, więc musiałem je w jakiś sposób zdobyć, abym mógł jeździć. Postanowiłem rzucić szkołę i podjąłem pracę w lesie, aby być niezależnym. Mając 17 lat, sam musiałem zarabiać na życie, bo lodówka w domu była pusta, rachunki niezapłacone, a gaz odcięty. Babcia w międzyczasie zmarła, a ojciec niczym się już nie interesował. Pił prawie na okrągło.

Nikt nie miał nade mną kontroli i sam zacząłem pić. Dawało mi to poczucie wartości. Przez to, że miałem wolne mieszkanie, było tam również wielu kolegów. Wśród



rówieśników starałem się uchodzić za twardziela. W tym czasie zaczęły się moje pierwsze próby z narkotykami i wączaniem kleju. Działanie narkotyków bardzo mi się podobało, ale widziałem raz kolegę wstrzykującego sobie dawkę heroiny, jak potem spuchnął i zaczął wymiotować. Na ten widok zraziłem się i pomyślałem sobie, że wolę nie brać dalej, gdyż nie wiadomo, jak to się skończy.

Piłem za to coraz więcej, zarówno w pracy, jak i po pracy. Człowiek zawsze stawał się weselszy. Imprezowaliśmy dużo, a to spowodowało, że zacząłem mieć problemy z prawem. Gdy dostałem pierwszą wypłatę za pracę w lesie, upiłem się tak mocno, że później nawet nie pamiętałem tego, że powybijałem w sklepie wszystkie szyby. Złapała mnie policja i obudziłem się rano na izbie wytrzeźwień. Dostałem wyrok w zawieszeniu, rok na trzy lata.

Moje życie toczyło się dalej. Trzymałem się chłopaków, którzy pod wpływem alkoholu byli bardzo agresywni. Nasze spotkania kończyły się przeważnie tym, że kogoś pobiliśmy. Pewnego dnia wyszedłem ze sklepu i zobaczyłem, że ktoś bije mojego kolegę. Biegłem mu na pomoc, ale okazało się, że to on był napastnikiem i chciał komuś zabrać pieniądze na wino. Dostałem kolejny wyrok. Przez te różne wykroczenia nabawiłem się trzech wyroków za pobicia. W międzyczasie ukradłem motocykl z garażu. Po zsumowaniu dostałem jeden wyrok w zawieszeniu. Za kradzież motoru groziła mi odsiadka, jednak jeszcze nie poszedłem do więzienia, ponieważ wykonanie kary zostało odroczone.

W ten sposób minął kolejny rok szarego życia, bez celu i perspektyw. Z ojcem mijaliśmy się, żeby nie było bójk. Kiedy on był w domu, to mnie nie było, i na odwrót. Nie mieliśmy dobrych relacji.

Czułem, że moje życie potrzebuje zmian, nie wiedziałem tylko jakich. W tym czasie moja kuzynka zaczęła chodzić do kościoła protestanckiego w Grudziądzu. Była to wspólnota „Zborów Chrystusowych”. Mimo tego, że jako niemowlę zostałem ochrzczony i że później przystąpiłem do komunii, uważałem, że nie ma Boga. Byłem przekonany, że kościół wymyślił sobie Boga, aby mieć władzę nad ludźmi. Nie uczestniczyłem w mszach, chociaż moja rodzina była katolicka. Tak było tylko z nazwy. Nie wiedziałem, że poza kościołem katolickim istnieją jeszcze inne.

Pewnego dnia moja kuzynka zaprosiła mnie do tego zboru. Pomyślałem sobie, że pójdę raz i zobaczę. Miałem wtedy długie włosy, skórzane ubranie i kiedy poszedłem pierwszy raz na nabożeństwo, czułem się dziwnie. Ale pamiętam, że coś dotknęło mojego serca. Spostrzegłem, że ludzie tam byli inni. Śpiewali radośnie, klaskali w dłonie, podnosili ręce do góry – czegoś takiego wcześniej nie widziałem. Chciałem, żeby mój przyjaciel Bogdan poszedł ze mną i powiedziałem: „Chodź, pośmiejemy się, gdy zobaczysz, co oni wyprawiają!”. Ale Bogdan nie chciał tam iść, a sam się nie odważyłem, dlatego nie poszedłem więcej do zboru. Mój sposób życia też do tego nie pasował.

Robiłem to co wcześniej, tylko że moja agresja wzmagała się pod wpływem alkoholu. Kiedyś szedłem ulicą i pobiłem człowieka, bo miałem po prostu na to ochotę. Wyładowałem złość, którą przez cały czas w sobie nosiłem. Tygodnie i miesiące mijały bez sensu. Pracowałem w lesie dość ciężko, ale dawałem sobie radę. W pewnym momencie mój kolega Tomek poznał człowieka ze zboru, który prowadził punkt konsultacyjny dla osób uzależnionych. Ludzie mogli przychodzić, wypić kawę i porozmawiać. Tomek zaczął tam chodzić i powiedział mi, że postanowił pojechać do chrześcijańskiego ośrodka z misji „Teen Challenge”. Chciał zmienić swoje życie. To mnie zainteresowało.

Poszedłem do punktu konsultacyjnego. Powiedzieli mi, że jest rozwiązanie, że można żyć inaczej i jeśli chcę pojechać do ośrodka, to mi pomogą. Miałem wtedy 19 lat i wydawało mi się, że nie mam żadnego problemu. Przecież każdy pił, tylko ja trochę więcej, bo lubiłem.

Pewnego razu mocno pociąłem sobie rękę, do dzisiaj mam ślady na przedramieniu. Później dowiedziałem się, co Pismo Święte mówi na ten temat: „Mąż okrutny kaleczy swoje ciało”. Takim byłem. Pamiętam, że miałem iść do wojska i poszedłem na komisję poborową. W trakcie jej trwania wyskoczyliśmy z Bogdanem coś wypić, gdyż „suszyło nas” po poprzednim dniu. Musiałem długo czekać i byłem przez to dość niecierpliwy. Kiedy komisja zobaczyła świeże rany na moim przedramieniu, zapytała, co się stało. Nic konkretnego nie odpowiedziałem, ale jeden z wojskowych skierował mnie do psychiatry. Na te słowa chciałem go pobić. Wyrzucili mnie i kazali przyjść jeszcze raz. W końcu poszedłem do psychiatry i pamiętam do dzisiaj tę rozmowę. Pani pytała mnie, czy mam wyrok w zawieszeniu, co potwierdziłem. Pytała dalej, czy dużo piję. Odpowiedziałem, że tylko wtedy, kiedy mam pieniądze. Pytała, kiedy mam pieniądze i moja odpowiedź brzmiała: „Codziennie”. W tym momencie powinienem uświadomić sobie, że jakiś problem faktycznie mam. Ale wówczas myślałem inaczej, dla mnie było to normalne.

Chodziłem nadal do punktu, ale w moim sercu była ogromna pustka. Darek i Krzysiek, którzy tam pracowali, zachęcali mnie, aby pojechać do ośrodka. W końcu zdecydowałem się na ten krok.

Ośrodek był w Puńcowie koło Cieszyna. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Pierwsze, co odczułem, to ciepło w relacjach między ludźmi. Było nas wtedy siedmiu z całej Polski. Przyjechaliliśmy, aby znaleźć pomoc. Podobało mi się tam i czułem się dobrze. Co niedzielę jeździliśmy na

nabożeństwa do kościoła zielonoświątkowego w Cieszynie. Każdy z nas miał wyznaczoną pracę, a oprócz tego w ośrodku codziennie była społeczność, tzn. czytanie Pisma Świętego i wspólna modlitwa. Słyszałem dużo o Panu Jezusie i Jego ofierze za nas, chociaż Sam nigdy nie grzeszył. Przeważnie prowadzący pytał pod koniec spotkania, czy ktoś chce przyjąć Jezusa jako swojego Zbawiciela. Pewnego dnia poprosiłem Pana Jezusa, żeby zamieszkał w moim sercu. Prowadzący zapewnił mnie, że krew Jezusa obmyła mnie od wszelkiego grzechu. Przyjąłem to wiarą, chociaż nic szczególnego w tym momencie nie czułem.

Nie wiedziałem, jak mam dalej postępować. Z dzisiejszej perspektywy widzę, że wtedy jeszcze górowało moje „ja”. Sam chciałem o wszystkim decydować. Wprawdzie była we mnie determinacja: „Nie będę dalej pić, lecz chcę chodzić na co dzień za Bogiem”. Nie zdawałem jednak sobie sprawy, że jestem jeszcze za słaby. Minęło sześć tygodni i poszedłem do kierownika ośrodka, aby mu powiedzieć, że już wiem, jak chcę żyć, więc wracam do domu. Myślałem sobie: „Narkomani mają problem, ale ja z moim picciem?!?”. Kierownik nie uważał tego za dobry pomysł i prosił mnie, żebym się jeszcze zastanowił, ale powiedziałem mu, że wszystko już przemyślałem i dam sobie radę. Piłem tylko niecałe trzy lata i byłem przekonany, że mam nad tym kontrolę. Więc spakowałem się i wyjechałem z ośrodka. Niestety, zaczęło się dziać tak, jak mówi Pismo Święte. Jest tam opisana historia o człowieku, z którego wyszedł nieczysty duch i wrócił z siedmioma innymi duchami, które były jeszcze gorsze od niego. Stan tego człowieka był potem tragiczniejszy niż na początku. Tak samo było u mnie. Kiedy wróciłem do Grudziądza, trzymałem się może siedem dni. Wprawdzie pierwsze kroki zrobiłem z Biblią, czytałem ją i modliłem się, ale

bardzo szybko wróciłem do tego, co było. Piłem przez trzy, cztery miesiące i w ogóle nie trzeźwiałem. W tym czasie narobiłem więcej zła niż przez całe 19 lat mojego wcześniejszego życia. Dopiero wtedy przyznałem się, że mam problem i muszę coś z tym zrobić. Postanowiłem jeszcze raz pojechać do ośrodka. Napisałem list do kierownika, wysłałem go jako polecony. Kierownik posłał mi telegram, że mogę wrócić. Byłem jednak w ciągu alkoholowym. W stanie nietrzeźwym jechałem na motorze i miałem wypadek. Wywróciłem się na zakręcie i zdarłem sobie całą twarz. Lała się ze mnie krew, ale zdołałem jeszcze dojechać do domu.

Po wypadku piłem przez kilka dni pod rząd. Kiedy wytrzeźwiałem zorientowałem się, że miałem już być w ośrodku. Pamiętam jak dziś, jak stanąłem przed lustrem i powiedziałem: „Tomek, albo coś ze sobą zrobisz, albo już nie żyjesz”. I to co miałem – swetry, bluzę i spodnie spakowałem do plecaka i pojechałem do Cieszyna. Nie miałem żadnych pieniędzy na bilet, tylko jakieś drobne. Toczyłem walkę, czy jeszcze czegoś nie wypić, gdyż bardzo mi się chciało. W końcu postanowiłem, że nie kupię wina, tylko pojadę. Wsiadłem na gapę do pociągu. Konduktor na „dzień dobry” wyrzucił mnie w Bydgoszczy, bo nie poszedłem poprosić go o bilet kredytowy. Dopiero po północy miałem pociąg do Katowic. Chwyciło mnie takie delirium, że prawie nie byłem w stanie podpisać się na bilecie kredytowym. Przyjechałem do Cieszyna w lany poniedziałek. Nie było autobusu i maszerowałem kilka kilometrów z Cieszyna do Puńcowa. Dotarłem ledwo żywy do ośrodka, a kierownik z innymi pacjentami wybierali się właśnie na wycieczkę w góry. Kierownik powiedział tylko do mnie: „Dobrze, że jesteś. Pogadamy później. Wsiadaj do busa!”. Wziął mnie na tę wycieczkę, a potem dostałem jeszcze trzy dni kary za trzydniowe spóźnienie. Kiedy więc

inni po południu mieli wolne, to ja musiałem jeszcze pracować. Lecz byłem zdeterminowany, by się zmienić.

Powiedziałem Bogu: „Panie, nie **ja** chcę już decydować w moim życiu, ale proszę, abyś to **Ty** nim kierował! Jeśli mam być przez rok w ośrodku, niech tak będzie”. Wtedy Bóg dotknął mojego serca. Były to dla mnie kluczowe słowa, gdyż do tej pory zawsze sam podejmowałem wszystkie decyzje o tym, co chcę robić. Nigdy nie poddawałem się innym. Ale teraz chciałem we wszystkim podobać się Bogu. Jeździliśmy regularnie do zboru i rozważaliśmy Pismo Święte. Pragnąłem Ducha Świętego takiego, jaki jest opisany w Nowym Testamencie.

Będąc w ośrodku, miałem sprawę, podczas której odwiezono mi wyrok – ten, który dostałem, mając 17 lat za zniszczenie mienia. Sędzia powiedział do mnie: „Nie mogę panu zawiesić tego wyroku, ale jest inna możliwość: Ma Pan rok do odsiadki, a pobyt w ośrodku także trwa rok. Kiedy minie ten okres, uznamy rok za odsiedziany”. Byłem wtedy już dziewiąty miesiąc w ośrodku i zostały mi trzy miesiące do ukończenia terapii.

Składała się ona z trzech etapów. W Cieszynie funkcjonował ośrodek kryzysowy, w którym przebywałem trzy miesiące. Potem pojechałem na drugi etap do ośrodka w Broczynie. Czas spędzony tam pomagał mi prowadzić życie bez alkoholu, zmienić sposób myślenia i postępowania. Po pół roku przyjąłem chrzest wiary, bo chciałem przed ludźmi wyznać, że Jezus stał się moim Panem. Dzień później pojechałem na pierwszą przepustkę do domu. Chciałem się spotkać ze znajomymi i opowiedzieć im o swoich przeżyciach. Wiedziałem, gdzie ich znajdę. Przed kioskiem stała grupa moich kolegów. Część z nich jest dzisiaj w więzieniu, niektórzy już zmarli, a inni żyją nie wiedząc, z kim mają dzieci. Powiedziałem im, że Jezus Chrystus mnie zmienił. Kiedy to usłyszeli, wyśmiali mnie,

ale nie przeszkadzało mi to. Wiedziałem, co stało się w moim sercu i że sam nie byłbym w stanie dokonać takiej niesamowitej zmiany.

Po rocznym pobycie, opuszczając ośrodek, postanowiłem nie wracać już do Grudziądza, lecz pojechać do Cieszyna, gdzie powstał hostel dla kończących terapię. Ludzie, którzy ją przeszli, a nie chcieli wracać do swoich dawnych miejsc, mogli tutaj rozpocząć nowe życie.

Znalazłem pracę przy produkcji okien. Minęły dwa lata, podczas których poznałem moją obecną żonę Olę. Ale niestety, całkiem niespodziewanie odezwały się stare problemy. Trzy miesiące po ślubie przyjechała po mnie policja z nakazem aresztowania sprzed trzech lat! Przypomniały mi się słowa, które sędzia wówczas do mnie powiedział, że mam tylko skończyć ośrodek i będzie to uznane jako odsiedziany rok. A tu nagle policja! Zabrali mnie z zakładu pracy i zawieźli do więzienia. Zdziwienie w pracy było ogromne, gdyż miałem ksywkę „Święty”. Był to szok dla wszystkich. Skontaktowałem się z kuratorką, ale ona nic nie mogła już zrobić. Powiedziała, że wyrok może odwołać tylko ten sąd, który go wydał. Stałem na komisji penitencjarnej w Cieszynie. Opowiedziałem im historię mojego życia i o tym, co Pan Bóg dla mnie uczynił. Było ich piętnastu – sędzia i ławnicy. Jeden z nich powiedział: „Z tego, co pan mówi, to nie powinien pan tutaj być. Ale my nie jesteśmy w stanie nic zrobić”. Kierownik hostelu wstawiał się za mną i rozmawiał z wieloma ludźmi, którzy mogliby pomóc w tej sprawie, ale to wszystko nie przyniosło efektu. Toczyłem nieopisaną walkę w modlitwach, bo nie widziałem żadnego sensu w tym, aby pozostać w więzieniu, skoro teraz postępowałem już inaczej. Oprócz mnie również żona i przyjaciele wołali o pomoc do Pana. Wiedzieliśmy, że Bóg może wszystko zmienić. Byłem osobą nawróconą, żyłem

w abstynencji od prawie trzech lat, moja żona właśnie zaszła w ciążę, a tu miałbym rok do odsiadki!

Sprawa toczyła się później zaocznie w Grudziądzu. Odrzucili wniosek i dostałem wiadomość: WYROK DO WYKONANIA. Żaden cud się nie wydarzył i musiałem pozostać w zakładzie karnym. Było to dla mnie bardzo trudne przeżycie. Przez pierwszy tydzień w ogóle nie jadłem. Biłem się ze swymi myślami i miałem tysiące pytań do Boga. Minął pewien okres, zanim dostałem odpowiedź.

Pierwsze tygodnie spędziłem w cieszyńskim więzieniu. Przebywałem w dwuosobowej celi razem z chłopakiem, którego poznałem wcześniej w hostelu w Cieszynie. Słyszał tam dużo o Bogu, ale opuścił ośrodek i wrócił do starego życia. Kiedy mnie zobaczył, był bardzo zdziwiony i powiedział, że jestem ostatnią osobą, której spodziewałby się w tym miejscu. Opowiedziałem mu całą historię. Wtedy przyszła mi taka myśl, że chciałbym ten czas odsiadki wykorzystać, by mówić innym więźniom o Bogu. Postanowiłem: „Boże, będę świadczył o Tobie, tam gdzie jestem. Niech moje świadectwo będzie na Twoją chwałę”.

Po kilku tygodniach wywieźli mnie do zakładu półotwartego w Wojkowicach. Wtedy nie miałem jeszcze 23 lat i trafiłem na pawilon dla małolátów do siedmioosobowej celi. Jeden z chłopaków handlował amfetaminą. Od razu powiedziałem im o tym, że Pan Jezus uwolnił mnie od nałogu. Widzieli, że nie przeklinam i nie ekscytuję się złymi rzeczami, które zrobiłem. Wręcz przeciwnie, fascynuje mnie to, czego Pan Bóg dokonał we mnie i że można żyć inaczej.

Na początku było mi tam bardzo ciężko. Chcieli mnie wypróbować. Ukradli mi kilka rzeczy, a biorąc narkotyki byli pobudzeni i przysparzali różnych kłopotów. Aż do pewnego momentu. Kiedyś jeden z nich chciał mnie zabić.



Spróbował mnie uderzyć metalowym taboretom, ale powiedziałem mu: „Nie boję się śmierci. Ja będę miał spokój, a ty dostaniesz 25 lat”. Od tej chwili zostawili mnie w spokoju. Męczyła mnie jednak więzienna codzienność. Chłopaki często ćpali i pamiętam, jak po kolejnej nieprzespanej nocy, zacząłem się modlić, ponieważ znowu chcieli brać narkotyki. Wtedy Bóg zaingerował i narkotyki po prostu nie zadziałały. Oni ze złości poszli spać i miałem pierwszą od dłuższego czasu spokojną noc.

Niekiedy miałem możliwość, aby na osobności z niektórymi porozmawiać. Gdy mówiłem o Bogu, słuchali, gdyż mieli w swoim sercu wielką pustkę. W grupie byli gierojami i nie chcieli okazać słabości. Ale tak naprawdę potrzebowali miłości. Pragnęli zmiany i celu dla swojego życia. Nie wiedzieli o tym, że gwarantem tego jest Pan Bóg, który ma tak ogromną i bezwarunkową miłość do nas, że dał Swojego Syna Jezusa Chrystusa, aby wziął na siebie karę za nasze winy. To coś niesamowitego!

Do więzienia przychodzili także ludzie ze zboru. Uczestniczyłem w ich spotkaniach, aby mieć społeczność z innymi chrześcijanami. Zacząłem spędzać jeszcze więcej czasu na czytaniu Biblii oraz książyk, które przywoziła mi żona. Rano wstawałem, jadłem śniadanie i potem czytałem, często do samego wieczora. Pewnego razu trafiłem na zdanie, o którym nigdy nie zapomnę: „W życiu chrześcijanina nic nie dzieje się bez celu. W każdej sprawie, która nas spotyka, Bóg ma plan”. Pamiętam, jak wtedy powiedziałem: „Panie Boże, nie wiem, dlaczego tutaj jestem, ale dziękuję Ci, że się o wszystko zatroszczysz i wiesz, co robisz”.

W tym okresie zostałem przeniesiony do pawilonu otwartego. Dostałem do celi chłopaka, który mnie nie znosił. Kiedy czytałem Pismo Święte, on dostawał ataku furii i był dla mnie bardzo dokuczliwy. Niszczył mi różne rzeczy

i okazywał cały czas swoje niezadowolenie z tego, że jestem z nim w celi. Dzisiaj myślę, że przez niego działał szatan. Wiele razy musiałem wychodzić z celi, aby nie zrobić czegoś, czego bym żałował. Była to dla mnie wielka próba, aby powstrzymać emocje i nie zemścić się na nim. Modlitwa połączona ze spacerami dawała mi ukojenie. Było wiele trudnych sytuacji, ale Pan Bóg pomógł mi wytrwać.

Dwa razy mogłem wyjść na przepustkę. Skontaktowałem się z moim dawnym szefem, abym po wyjściu mógł dalej u niego pracować. Powiedział mi: „Zawsze możesz do mnie wrócić. Jak tylko wyjdiesz, to cię znowu zatrudnię”.

Prawie siedem miesięcy po moim aresztowaniu stanąłem na wokandzie sądowej i mogłem opuścić więzienie po połowie kary. Zdążyłem wyjść na miesiąc przed narodzinami naszej córki Natalki. Podjąłem z powrotem pracę.

Patrząc wstecz, te pół roku w więzieniu było okresem, w którym miałem najlepszą w swoim życiu więź z Bogiem. Właśnie w tych wielkich trudnościach, Bóg pokazywał mi Swoją chwałę. Troszczył się również w niesamowity sposób o moją żonę. Ludzie ze zboru dawali jej pieniądze, wspierali ją i pomagali we wszystkim, co było jej potrzebne.

Zaczął się dla mnie kolejny etap: jako męża i ojca. Po dwóch i pół roku urodziła nam się druga córka, Julka, i staliśmy się czteroosobową rodziną. Wszystko to jest dla mnie wielkim cudem. Kiedyś było to nie do wyobrażenia, że będę utrzymywać rodzinę i przejmować odpowiedzialność za innych.

Sześć lat temu wyjechałem za granicę, aby trochę więcej zarobić. Pieniądze faktycznie były większe, ale po około trzech latach zauważyliśmy z Olą, że nie rekompensowały one rozłąki między nami. Brakowało mi nie tylko żony, ale

też dzieci. Przyjeżdżałem wprawdzie co dwa, trzy miesiące na kilka dni, ale byłem wtedy gościem we własnym domu. Dlatego postanowiliśmy, że albo wyjeżdżamy całą rodziną, albo zostaniemy razem na miejscu. Od kilku lat jesteśmy wszyscy w Polsce i bardzo się z tego cieszę. Wróciłem do firmy, z którą od samego początku jestem związany. Obecnie nadal z nią współpracuję, ale już nie jako pracownik, tylko podwykonawca. Teraz mam swoją firmę.

Od półtora roku Ola i ja jesteśmy gospodarzami hostelu w Cieszynie. Bóg powołał nas do służby, żeby być z tymi, którzy są w potrzebie i świadczyć im o Bożej miłości. Ludzie, którzy kiedyś przyjeżdżali, byli już po terapii i częściowo ugruntowani w wierze. W ostatnich latach zmieniła się specyfika hostelu. Dzisiaj przychodzą ludzie, którzy są bezdomni lub byli w więzieniu.

W moim sercu zawsze było i jest pragnienie pomocy ludziom. Daje mi to wielką satysfakcję, kiedy widzę, jak życie człowieka, który nie miał już dla siebie nadziei, zaczyna być odbudowywane. Sam byłem tym, który przez innych był już przekreślony. Będąc jeszcze dzieckiem i widząc swojego ojca, zawsze sobie powtarzałem, że nigdy nie będę robił tego samego co on. W pewnym momencie uświadomiłem sobie jednak, że postępowałem dokładnie tak samo. Ktoś znalazł mojego dziadka za kioskiem. Leżał pijany – zmarł z powodu wylewu. Mój ojciec pił, zanim się urodziłem. I ja zacząłem robić to samo. Kiedyś zastanawiałem się nad tym, czy nad moim życiem nie ciążyło jakieś przekleństwo, bo moi przodkowie również byli alkoholikami. Dziś wiem, że dzięki przyjęciu Jezusa Chrystusa jako swojego Pana i Zbawiciela, zostały złamane wszystkie związania z przeszłości. Od szesnastu lat jestem wolny, nie ciągnie mnie już alkohol. Mogłem przez ten czas doświadczyć Bożej łaski i pomocy. Wierzę, że to, iż byłem Panu wierny w więzieniu, zaowocowało w kolejnych

latach. Wiadomo, trudności są zawsze, ale Bóg nas przez nie prowadzi i błogosławi.

Niektórzy przychodzą do hostelu, słyszą o Jezusie, ale nic z tym nie robią. Wracają do tego, w czym tkwili. Jest to przykre, ale każdy ma wolną wolę. Wszelkie decyzje, które podejmujemy, rzutują na to, co będzie się działo później. Jeśli są złe, to ich negatywne konsekwencje zobaczymy potem u siebie. Ale te dobre decyzje zaowocują pozytywnymi rzeczami.

Mój przyjaciel Bogdan był otwarty na Słowo Boże. Biblię, którą mu dałem, miał przez wiele lat. Nawet cytował mi z niej wersety. Jednak zmarł śmiercią tragiczną, będąc pod wpływem alkoholu. Mam nadzieję, że pojednał się z Bogiem. Pismo Święte mówi nam, że dzisiaj jest dzień zbawienia. Nikt z nas nie wie, czy będzie jutro.

Mogę zaświadczyć o tym, że Jezus jest żywy i ma moc przemienić wszystko. Jedyne On może dać cel, nową perspektywę i wspierać rodzinę, wolną od wszelkich nałogów. Niech moje świadectwo będzie zachętą dla wszystkich, którzy pragną zmiany. Nigdy nie jest za późno, aby poddać się pod Boże kierownictwo. Sam wiem, że to co proponuje świat – używki, alkohol, narkotyki – jest fajne na chwilę, ale później zostajemy sami: z kacem, głodem narkotycznym, różnymi lękami i problemami. Pan Jezus oferuje coś całkiem innego: nowe życie w pokoju i w pełni. Sam mogłem się o tym przekonać i znam wielu ludzi, którzy byli w podobnej lub nawet gorszej sytuacji, a doświadczyli tego samego.

*Z Tomkiem można się skontaktować:*

*Tomek („Przekreśleni?”), ul. Bóźnicza 5, 43-400 Cieszyn*

## **Józek:** Dworzec był moim domem

Urodziłem się w rodzinie robotniczo-rolniczej, niedaleko Nowego Sącza. W tych okolicach prawie w każdym domu produkowano bimbler. Odkąd pamiętam, alkohol był wszędzie. Rodzinę miałem dobrą, ale tata lubił sobie wypić. Było to normalne, bo każdy pił.

Mama starała się dobrze nas wychowywać i dbała o to, byśmy nie chodzili głodni i mieli ubrania. Razem z bratem i dwiema siostrami chodziłem na religię i do kościoła katolickiego. Dostosowywałem się do reguł i żyłem wiarą ojców. Wydawało mi się, że czynię wszystko dobrze. Żyłem tak, jak ludzie wokół mnie.

Kiedy poszedłem do szkoły zawodowej, zacząłem pić. Na początku kryłem się z tym, gdyż bałem się reakcji rodziców, jednak z czasem coraz częściej zaglądałem do butelki. Po ukończeniu zawodówki podjąłem pracę w Przedsiębiorstwie Montażu Urządzeń Górniczych w Katowicach. Szybko znalazłem się w towarzystwie kolegów, którzy nie stronili od alkoholu. Dużo z nimi piłem, w wyniku czego po krótkim czasie zostałem zwolniony z pracy. Potem tułałem się po Polsce. W końcu trafiłem do Rybnika i zatrudniłem się w kopalni. Był tam klub kopalniany, w którym trochę trenowałem, głównie karate i boks. Zdobyte umiejętności niedługo stały się powodem problemów. Pod wpływem wódki wszczynałem bójkę, które przeważnie wygrywałem. Robiło to na mnie wrażenie i pociągało coraz bardziej. Przez moje pijaństwo również na kopalni nie ostatek się długo. Podejmowałem się potem różnych zajęć, ale cały czas sięgałem po alkohol. Coraz częściej dochodziło do bójek i awantur. Czasami musiałem uciekać, gdyż bałem się, że mnie zabiją. Wyjeżdżałem i wracałem do domu. Nie miałem w ogóle przyjaciół, tylko kumpli z knajpy. Wiodłem podłe życie.

Zarabiałem i przepijałem ogromną ilość pieniędzy. Zawsze lubiłem pracować i ludzie wiedzieli, że mogą na mnie liczyć. Jednak przez alkohol nigdzie nie zagrzałem długo miejsca. Dużo robiłem prywatnie, dlatego miałem kasę. Kiedy dostałem wypłatę, kupowałem wódkę i przez dwa, trzy tygodnie tylko piłem. Leżałem jeszcze nieprzytomny, a już ktoś mnie szukał: „Józek, wytrzeźwiałeś? Mam dla ciebie pracę!”.

Rodzice nie potrafili pogodzić się z moim stylem życia, ponieważ przysparzałem im wiele trosk i wstydu. Powodowałem cały czas kłótnie, dlatego, że tak dużo piłem. Próbowałem kilka razy przestać, lecz nie miałem siły. Chciałem zmienić swoje życie, ale nie udawało mi się. Dlatego jeszcze głębiej uciekałem w nałóg. Wtedy o wszystkim zapominałem. Mając dwadzieścia kilka lat, sam siebie przekreśliłem, gdyż nie widziałem już wyjścia. Potrzebowałem alkoholu do normalnego życia. Zawsze byłem pod jego wpływem, także w pracy.

Zatrudniłem się ponownie w hucie w Krakowie. Tam ciężko pobiłem człowieka, jednak dzięki adwokatowi i rodzinie dostałem tylko trzyletni wyrok. Przesiedziałem ten czas w zakładzie karnym w Krakowie, ale nie zresocjalizowałem się w tym miejscu. Przebywałem z ludźmi, którzy żyli z przestępstw. Więzienie nie poprawiło mnie, posłużyło jedynie do udoskonalenia różnych kryminalnych praktyk. Wyszedłem jeszcze gorszy. Pierwsze kroki na wolności skierowałem do sklepu z wódką. Upiłem się i wsiałem do autobusu. Miałem cztery przesiadki do domu. Na jednym z przystanków spotkałem człowieka, którego znałem z widzenia. On również nie był trzeźwy i wywiązała się między nami kłótnia. Wpadłem w szał i nie wiedziałem, co robię. Pobiłem go tak mocno, że o mało nie umarł. Osoby stojące na przystanku wezwały pogotowie, które zawiozło go na sygnale do szpitala. A ja, w dniu wyjścia znalazłem

się ponownie w więzieniu – wróciłem jako recydywista. Człowiek, którego pobiłem, przeżył. Gdyby ze szpitala przyszła wiadomość, że zmarł, popełniłbym samobójstwo – miałem już wszystko zaplanowane. Gdzieś w środku dręczyło mnie sumienie. Dostałem tylko cztery lata, mimo że było to bardzo ciężkie pobicie.

W sumie za kratkami spędziłem siedem lat. Jest to czas, który został całkowicie wykreślony z mojego życiorysu i który źle wspominam. Przebywałem w różnych zakładach karnych, czasami tylko przez kilka tygodni, gdyż wozili mnie od jednego więzienia do drugiego. Zawsze natychmiast pisałem do naczelnika podanie o pracę. Musiałem być w ruchu, nie potrafiłem siedzieć beczynn timer w celi. Jeśli mogłem pracować, to dosyć długo utrzymywałem się w jednym zakładzie. Pomogło mi to przetrwać te lata. Lecz w więzieniu napatrzyłem się na różne rzeczy i nie wyszedłem z niego jako „lepszy człowiek”.

W wieku 29 lat zostałem zwolniony i już nigdy nie wróciłem do tego miejsca. Od tamtej pory minęło 20 lat. Wprawdzie byłem na wolności, ale strasznie się rozpiłem. Jeździłem po budowach, pracowałem i zarabiałem tylko po to, żeby pić. Mógłbym dzisiaj mieć trzy wille i jeździć mercedesem, gdybym nie roztrwonil każdej złotówki. Moje życie stawało się coraz gorsze. Nie zależało mi już na niczym – nieważne, czy ja kogoś zabiję, czy sam będę czyjąś ofiarą. Jedynym celem była butelka. Obracałem się w najgorszym środowisku. Plątałem się w ten sposób do 37 roku życia. Wtedy pojechałem na Święta Bożego Narodzenia do domu. Kiedy wysiadłem z autobusu, miałem cztery promile alkoholu we krwi. Chciałem wejść do baru naprzeciwko, bo jeszcze mi było mało. Z góryjechał samochód i potrącił mnie. Leciłem w powietrzu, tracąc przytomność. Wszyscy myśleli, że nie przeżyłem. Karetka przyjechała i zawiozła mnie do szpitala. Spędziłem

tam trzy tygodnie. Miałem 43 szwy na twarzy. Przez pijaństwo niszczyłem sam siebie.

Krótko po tym wypadku po raz drugi mogłem stracić życie. Była zima i bez celu szedłem przed siebie. Miałem litr śliwownicy przy sobie. Usiadłem przy leśnej polanie, aby zapalić papierosa. Byłem tak bardzo pijany, że przewróciłem się na śniegu i usnąłem. Powoli śnieg mnie przysypał. Znalazł mnie znajomy i zawiózł do swojego domu. Rozgrzał mnie i na drugi dzień nawet nie kaszlałem, nie miałem odmrożonych palców, po prostu nic. Dzisiaj wiem, że to była tylko Boża łaska. W górach jest dużo śniegu i gdyby nie ten kolega, to znaleźliby mnie na wiosnę.

Moja rodzina nie widziała już dla mnie żadnej nadziei. Wprawdzie zarabiałem dużo pieniędzy, ale przychodziłem do domu bez grosza. Mama często płakała i prosiła mnie, żebym zaczął normalne życie. Wiele razy mówiła mi o Bogu i zachęcała mnie, abym Mu zaufał. Pamiętam także jej modlitwy: „Boże, uratuj go!”. Lecz nie miałem tej świadomości, że Bóg może mi pomóc. Nie było we mnie bojaźni Bożej i nie chciałem słuchać tego, o czym mówiła mi mama. Bardziej zależało mi na pieniądzach i wódce niż na Bogu. W niedługim czasie moja mama zmarła, a ja dalej wyjeżdżałem, zarabiałem i piłem – więcej i więcej.

Pewnego dnia pokłóciłem się z moją bratową i powiedziałem jej, że nie wrócę już do domu. Wyjechałem do Łodzi i pracowałem tam, budując prywatne domy. Zarabiałem bardzo dużo, ale znalazłem się w środowisku przestępczym i zrozumiałem, że muszę stamtąd uciekać. Duma nie pozwoliła mi na powrót do domu. Krążyłem więc po Polsce, jednak pieniędzy nie starczyło mi na długo. Stałem się bezdomnym, który spał obojętnie gdzie, a inni go okradali. Nie miałem nic. Byłem biedakiem i stoczyłem się tak nisko, że piłem nawet czysty denaturat. Nie rozpuszczałem go, gdyż inaczej już mnie nie ruszał.



W takim stanie dotarłem do Częstochowy, gdzie noco-  
wałem z innymi bezdomnymi na dworcu PKP. Pewnego  
dnia zmarło przy mnie dwóch kolegów. Straż miejska  
wygoniła nas stamtąd. Wtedy inny bezdomny, z którym  
się zakumplowałem, Krzysiek, powiedział do mnie: „Józku,  
śmierdzi tu śmiercią. Pojedźmy do Radomska!“. Były to  
jego rodzinne strony, nigdy wcześniej tam nie byłem. Dla  
mnie miejsce pobytu nie miało znaczenia i nic mnie nigdzie  
nie trzymało. Pojechaliśmy do Radomska i również tam  
spaliśmy na dworcu. Mimo bezdomności nigdy nie  
brakowało mi pieniędzy, by kupić sobie denaturat.  
Zbierałem puszki, starałem się złapać jakieś dorywcze  
prace w zamian za wyżywienie czy kilka groszy.

Pewnego dnia przyjechała policja i zawiozła mnie na  
posterunek. Okazało się, że moja rodzina zgłosiła  
zaginięcie i szukała mnie. Policja powiadomiła ich, że mnie  
odnaleźli. Zostałem wypuszczony, lecz nie udałem się  
w podróż do domu. Byłem już degeneratem. Nie myślałem  
ani o swojej rodzinie, ani o nikim.

Na dworzec ciągle przychodziła straż miejska. Kiedyś,  
w zimie, strażnik powiedział mi o ośrodku, gdzie mógłbym  
przetrvać zimę. Zawiózł mnie na noclegownię  
w Radomsku. Jej kierownikiem był Piotr, który pokazał mi  
wszystkie pomieszczenia. Noclegownia była prowadzona  
przez chrześcijańskie stowarzyszenie. Pamiętam krzyż,  
który wisiał w pokoju wejściowym, a na jego ramieniu był  
napis „Jezus żyje“. Uważałem siebie za osobę wierzącą,  
ponieważ cała rodzina była katolicka. Mimo to krzyż ten  
spowodował we mnie dziwne uczucie. Piotr przedstawił mi  
regulamin noclegowni i powiedział m.in., że nie wolno pić  
i palić. Zaproponował mi, abym od razu zostałem. Na dworcu  
miałem jeszcze dużo denaturatu i było mi go szkoda.  
Dlatego powiedziałem Piotrowi, że muszę iść po swoje  
rzeczy i potem wrócę. Ale okłamałem go. W noclegowni

byłem tylko godzinę, a potem poszedłem z powrotem na dworzec do swoich kumpli.

Jednak po dwóch tygodniach przypomniał mi się ten dom i pomyślałem: „Dlaczego mam się tu męczyć? Przecież przez zimę mogę tam mieszkać, przynajmniej będzie cieplej niż na dworcu!”. Oddałem chłopakom swoje papierosy i powiedziałem im, że zostanę na trzy, cztery miesiące w noclegowni. Potem miałem zamiar znowu pracować, bo wiosną zaczyna się sezon budowlany. Wyśmiewali mnie, gdyż wiedzieli, że jest to ośrodek chrześcijański. Mówiłem im, że nikt mi dworca nie zamknie i zawsze mogę wrócić. Nie miałem nic do stracenia, więc poszedłem tam. Piotr przyjął mnie z powrotem. Zaraz zapytałem, czy jest coś, co mógłbym robić. Był styczeń i dali mi pracę w kotłowni. Remontowałem piec i szukałem sobie różnych zajęć.

W noclegowni odbywały się obowiązkowe spotkania dla wszystkich mieszkańców. Żona starszego zboru, Aneta, prowadziła grupę biblijną. Często kłóciłem się z nią, ponieważ miałem całkiem inny sposób myślenia. Przerastał mnie „stoicki spokój” tej kobiety. Aneta dała mi Pismo Święte i powiedziała: „Czytaj i sprawdź to, o czym mówimy”. Zacząłem czytać, bo szukałem czegoś, do czego mógłbym się przyczepić. Zawsze chciałem mieć rację. Obserwowałem uczestników tej grupy i wsłuchiwałem się coraz bardziej w ich rozmowy. Słyszałem po raz pierwszy, że Jezus poniósł śmierć na krzyżu za moje grzechy. Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Mówili o tym nie tylko na grupie biblijnej, ale też na nabożeństwach w kościele zielonoświątkowym, który znajdował się w budynku obok.

Na początku wszystko wydawało mi się tam dziwne. Na nabożeństwie ludzie klaskali i całym sercem oddawali chwałę Bogu. Zaintrygowało mnie to i zacząłem jeszcze więcej czytać Biblię, praktycznie non-stop. Pragnąłem poznać Boga i Jego wolę. Pewnej nocy, podczas czytania,

przyszło na mnie upamiętanie. Byłem twardym człowiekiem, natomiast wtedy leżałem w łóżku i płakałem. Powiedziałem: „Boże, czy muszę być takim dziadem?!”. Bóg poruszył moje serce. Pragnąłem prawdziwego przebaczenia i wolności, którą Pan Jezus obiecał w Biblii. Oddałem Mu całe moje zło, zaprosiłem Go do mojego serca i On faktycznie przyszedł! Przyjął mnie i obmył z brudu mojej przeszłości!

Od tego dnia moje życie zaczęło się zmieniać. Widziałem, jak wielka jest Boża moc. Poprosiłem Go, by zabrał mi pragnienie alkoholu i papierosów. W krótkim czasie stałem się wolnym człowiekiem! Wiedziałem, że nie wrócę do starego życia. Odczuwałem Boże działanie w moim sercu. Od kiedy zaufałem Bogu, nie muszę się już martwić o przyszłość. Otrzymałem przebaczenie grzechów na podstawie Bożej obietnicy: „Jeśli wyznajemy grzechy swoje, wierny jest Bóg i sprawiedliwy i odpuści nam grzechy, i oczyści nas od wszelkiej nieprawości” (1 list Jana 1,9). Jezus stał się moim Panem.

Pół roku później przyjąłem chrzest wodny w zborze. Pastor powiedział mi wtedy, że powinienem skontaktować się z rodziną, która nadal nie wiedziała, gdzie jestem. Żona pastora napisała list do mojej rodziny, że żyję i chcę ich odwiedzić. To, że się odnalazłem, było dla nich szokiem. Wcześniej szukali mnie nawet przez dwóch jasnowidzów. Obaj stwierdzili, że się utopiłem. Wszyscy przyjęli to jako prawdę.

Pojechałem razem z pastorem, by ich odwiedzić. Tam opowiedzieli mi o tych jasnowidzach. Odpowiedziałem, że mieli rację ze swoją wizją z wodą, ponieważ faktycznie zostałem zanurzony, lecz nie utopiony. Powiedziałem im o moim chrzcie w kościele zielonoświątkowym. Wtedy zaczęli wyśmiewać się ze mnie: „Aha, jesteś teraz w sekcie!”. Widzieli moją radość i powiedzieli, że na pewno jestem

pod wpływem narkotyków. Potem stwierdzili, że jestem na psychotropach. Pastor powiedział im, że to Pan Bóg uczynił mnie takim radosnym. Mój brat stwierdził, że wytrzymam w zborze najwyżej pół roku, potem wrócę do starego życia. Pastor wtedy uśmiechnął się i odpowiedział, że Boża moc jest większa. Po wizycie u rodziny wróciliśmy do Radomska.

Prosiłem Boga o stałą pracę, żebym nie musiał się dalej plątać po Polsce. Chciałem gdzieś osiąść i doświadczyć normalności. Nie modliłem się ani o żonę, ani o dom. Jedynym moim pragnieniem było zwykłe, codzienne życie. Pastor powierzył mi wtedy odpowiedzialność za teren zboru i noclegowni. Zatrudniono mnie jako konserwatora w warsztacie terapii zajęciowej dla niepełnosprawnych. Przepracowałem w ten sposób dwa lata. Nie mieszkałem już wtedy w noclegowni, lecz w budynku zborowym.

Pewnego dnia odbywało się szkolenie BHP dla pracowników warsztatów terapii zajęciowej. Uczestniczyła w nim też Renia. Od pierwszych chwil nie lubiliśmy się, bardzo jej dokuczałem. Próbowałem z niej żartować, ale ona na to nie pozwalała. Przez kilka miesięcy były między nami spięcia. W pewnym momencie Renia powiedziała: „Uważaj, bo jestem twoją siostrą w Panu!”. Do tej pory myślałem, że ona jest dziewczyną niewierzącą. Powoli zmieniałem o niej zdanie i swoje podejście. Zbliżyliśmy się do siebie – coraz częściej umawialiśmy się po pracy, spacerowaliśmy po parku. Rozmawialiśmy o przyszłości, ale nie wiedzieliśmy, czy to, co nas łączy, jest Boże, czy tylko „z nas”. Zacząłem się modlić w tej sprawie, Renia także. Nie ukrywałem niczego. Na początku rodzice Reni nie za bardzo chcieli mnie na zięcia. Nie dziwiłem się, gdyż rozumiałem ich wątpliwości co do mojej osoby. Mało tego, że jestem o wiele starszy i niższy od Reni, to jeszcze byłem alkoholikiem, który pił denaturat i mieszkał na dworcu. Ale

Renia uważała, że jeśli Bóg przemienił człowieka, to nie powróci on więcej do przeszłości.

Pamiętam pewną sytuację, kiedy Renia przyszła do mnie i rozmawialiśmy o oświadczeniach i klękaniu prosząc o rękę. Powiedziałem jej wtedy: „Słuchaj, nigdy nie będę przed tobą klękał, bo moje kolana powierzyłem Bogu. Klękać chcę tylko do modlitwy”. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, Renia bardzo ucieszyła się z tych słów. Jak się później okazało, była to odpowiedź na jej osobistą modlitwę i potwierdzenie dotyczące związku ze mną. Wiedziała, że nie zasłoni mi Boga.

Rozmawialiśmy dużo z pastorem i prosiliśmy też zbór o modlitwę za nas. Nigdy nie byłem żonaty i nie miałem dziecka, a więc nic nie stało na przeszkodzie w zawarciu małżeństwa. W związku ze ślubem doświadczyliśmy również wielkich Bożych cudów. Renia miała pieniądze, bo wcześniej pracowała i odkładała sobie trochę. Ja byłem zatrudniony na jedną czwartą etatu i miałem małą pensję, jednak zbyt dużą ambicję, by prosić kogokolwiek o pomoc. Kilka dni przed ślubem prosiłem Boga o 300 zł na garnitur, bo tyle właśnie mi brakowało. Była to moja osobista modlitwa i nic o niej Reni nie mówiłem. Następnego dnia pastor przyszedł do mnie i powiedział: „Józku, postanowiliśmy ze starszymi, że chcemy cię ubrać do ślubu w ramach naszego prezentu zborowego”. Po prostu zaniemówiłem. Wyglądało to tak, jakby pastor słyszał moją modlitwę! Pojechaliśmy do sklepu i kupiliśmy wszystkie brakujące rzeczy. Byłem wcześniej bezdomnym mieszkającym na dworcu, a teraz doświadczałem tego, jak Bóg zaopatruje, jeśli tylko człowiek Mu zaufa!

Wesele odbyło się pośród wielkiej radości. Widzieliśmy z Renią ogromną Bożą moc i Jego prowadzenie. Nie mieliśmy wiele, a mogliśmy ubłogosławić tym innych: przygotować przyjęcie dla naszej fizycznej i duchowej

rodziny, dla przyjaciół i znajomych, podzielić się naszym szczęściem. Dziękuję Panu Jezusowi z całego serca za to, że jest żywym Bogiem i wysłuchuje naszych modlitw!

Po ślubie przyszedł moment, kiedy chciałem wyjechać do pracy w Niemczech, ponieważ były tam dobre zarobki. Wydawało mi się, że jestem mocny i myślałem: „Teraz mam Boga, zarobię dużo pieniędzy i szybko kupię nam mieszkanie”. Wtedy miałem sen. Śniło mi się, że jestem w domu rodzinnym i w środowisku, w którym żyłem przez wiele lat. Już zaufałem Bogu, byłem długo po chrzcie, ale jeszcze nie żonaty, a tu nagle piję i palę. W tym śnie zastanawiałem się, jak mam wrócić do Radomska i wytłumaczyć im, że jako osoba wierząca wróciłem do starego życia. Wyszedłem z domu i spotkałem swojego brata. Zacząłem go oskarżać: „To jest twoja wina, bo gdybyś mi nie dał bimbrowa, to bym się nie upił!”. Zaczęliśmy się bić, tak jak to nieraz bywało wcześniej. Obudziłem się i zobaczyłem, że jestem w Radomsku, w swoim łóżku! Z radości wołałem: „Boże, jak ja Ci dziękuję, że to był tylko sen i że jestem tu!”. Bóg pokazał mi przez to, do czego bym wrócił. Miałem swoje słabości. Powiedziałem pastorowi: „Wyjazd do Niemiec mam już z głowy!”. Pastor powiedział mi wtedy, że Pan Bóg da mi wszystko, jeśli będę Mu ufał. Dzisiaj widzę, że miał rację. Bóg zaopatrzył mnie we wszystko. Mam stałą pracę, żonę i mieszkanie.

Jestem wdzięczny ludziom, którzy mi mówili, że jest ktoś, kto mnie kocha. Nie odrzucili mnie, nie powiedzieli: „Z ciebie, alkoholiku, już nic nie będzie!”. Podali mi rękę i pokazali drogę do Boga. Ich dobroć i bezinteresowność mnie przerastały. Na przykład, nie miałem dowodu, a pastor pojechał ze mną do urzędu i załatwił wszystko. Opłacił moje dokumenty, gdyż nie miałem żadnych pieniędzy. Jedno zdanie w szczególny sposób utkwilo mi w pamięci. Pastor często powtarzał: „Józku, słuchaj ludzi,

którzy słuchają Boga". Człowiek, który ufa Bogu, nie chce krzywdzić innych.

Wcześniej żyłem w środowisku obłudy, zakłamania i przemocy. Doprowadziłem do tego, że stałem się alkoholikiem. Była to moja decyzja. Nie pomogli mi w tym ludzie, ani Bóg nie stworzył mnie alkoholikiem. Przez wiele lat szedłem z diabłem na zatracenie i służyłem jemu. Wcale nie znałem Boga, a On wciąż jeszcze trzymał mnie przy życiu! Teraz jestem uratowanym człowiekiem!

Dzisiaj dostaję gęziej skórki, gdy pomyślę o tym, aby napić się wódki. Nie widzę już dla siebie życia alkoholika. Jest to tylko Boża zasługa. On zmienił wszystko. Jezus Chrystus wypełnił pustkę, którą miałem kiedyś w swoim sercu. Nie jestem w stanie wyrazić Mu swojej wdzięczności.

Kiedyś żyłem w strachu przed policją albo szukałem butelki, czy nie zostało mi trochę denaturatu na kaca. Dzisiaj budzę się spokojny. Chwała Bogu, że mogę żyć normalnie! Gdzie tylko jestem, mówię, że jest szansa dla każdego i aby nikt nie przekreślał samego siebie. Dla Pana Jezusa nie ma ludzi straconych czy beznadziejnych. Pragnę pokazać swoim życiem, jak wielki jest Bóg – jak z bandyty, który prowadził podłe życie, uczynił szczęśliwego człowieka. Bóg ma zawsze wyciągnięte ręce, tylko my musimy do Niego przyjść. On chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni! Bez względu na przeszłość, On może zmienić także twoją teraźniejszość i przyszłość.

*Z Józkiem można się skontaktować:*

*Józek („Przekreśleni?“), ul. Kopiec 17, 97-500 Radomsko*

Jeśli przeczytałeś tę książkę aż do tego miejsca, to pewnie zauważyłeś, że wszyscy, którzy opowiedzieli w niej swoją historię, mają ze sobą coś wspólnego – ich życie zostało uzdrowione dopiero wtedy, kiedy Bóg w nie zaingerował. Jednak niekoniecznie trzeba znaleźć się na samym dnie, żeby dostrzec, że życie bez Boga jest puste i prowadzi donikąd. Bóg daje ci szansę na zmianę. Niezależnie od twojej przeszłości On proponuje ci wartościową i dobrą przyszłość.

### **Oto kilka rzeczy, o których powinieneś wiedzieć:**

Ponieważ człowiek chciał żyć bez Boga, powstała pomiędzy nim a Bogiem głęboka przepaść. Biblia nazywa to oddzielenie grzechem. Grzech cechuje każdego człowieka w jego myśleniu, działaniu i życiu, np. poprzez nienawiść, zazdrość czy pożądlivość. W związku z tym nie może on już żyć we wspólnocie z kochającym i sprawiedliwym Bogiem, więc żyje bez Niego.

Człowiek został stworzony do życia w więzi z Bogiem. Musi sam doświadczyć Bożej miłości, aby także móc kochać. Dlatego grzech pozostawia głęboką pustkę w sercu każdego z nas. Tę pustkę próbujemy na różne sposoby wypełnić, np. alkoholem, narkotykami, pozycją społeczną, władzą lub też różnymi religiami. Jednak nie istnieje nic, co mogłoby ją zapełnić. Nie istnieje też nic, czym moglibyśmy odkupić winę, jaka na nas ciąży, jeśli zostawimy Boga na zewnątrz.

Ponieważ Bóg nas kocha i nie chce, aby nasze życie było nieudane, sam wskazuje nam drogę, którą możemy do Niego powrócić. W Jezusie Chrystusie Bóg stał się człowiekiem. On umarł za grzechy, które my popełniliśmy, żyjąc z dala od Niego.



Boży wyrok brzmi: „Zapłatą za grzech jest śmierć” (list do Rzymian 6,23). Jednak Jezus Chrystus przyszedł, aby zbawić nas od tej kary.

Kto dzisiaj zwróci się do zmartwychwstałego Jezusa, doświadczy Jego przebaczenia. Twoja rozmowa z Bogiem (modlitwa) może być zupełnie prosta: „Panie Jezu, chcę Ci zaufać i proszę Cię, abys wszedł do mojego życia i zrobił w nim porządek. Przebacz mi, proszę, moje winy. Ty rządź moim życiem, bo Ty mnie stworzyłeś. Dziękuję Ci, że słyszysz moją modlitwę, przebaczasz moją winę i budujesz moją więź z Bogiem”.

W Piśmie Świętym mamy następującą obietnicę: „A wszystkim, którzy Jezusa przyjęli, tym, którzy wierzą w imię Jego, dał moc, aby się stali dziećmi Bożymi” (Ew. Jana 1,12).

Jeśli masz pytania dotyczące tej książki lub twojego życia, możesz do nas napisać. Z osobami przedstawionymi w tej książce można nawiązać kontakt bezpośrednio, pisząc na adres podany pod każdym z rozdziałów.

Serdecznie dziękuję Piotrkowi, Tadkowi, Wojtkowi, Tomkowi i Józkowi za to, że podzielili się swoimi historiami, które z jednej strony pokazują ogromną ciemność, ale z drugiej, promienne światło Bożej mocy i miłości.

Niech ta książka będzie dla każdego czytelnika zachęceniem do podjęcia najważniejszej decyzji swojego życia: szukania i przyjęcia Jezusa Chrystusa jako osobistego Zbawiciela.

Ina Bonk  
„Przekreśleni?”  
ul. Korfantego 24  
43-400 Cieszyn  
[www.zycietowiecej.com](http://www.zycietowiecej.com)